

W i e s

T Y G O D N I K S P O Ł E C Z N O - L I T E R A C K I

Rok III

Łódź, 22 września 1946 r.

Nr 37 (65)

Jan Aleksander Król

LISTY ZE WSI

Na wiejskiej poczcie (I)

(List otwarty do Ministra Poczty i Telegrafów *)

Piszę do Was ze wsi. Znajduje się ona w środku Polski. Siedzi przy szosie, która wiedzie na zachód. Wiąże się z nią trakty na Częstochowę, Katowice, Kraków, na Kielce. Nieustannie suną ciężarowe samochody. Dudnienie przypomina dobrze obciążone bombowce. Takie tu „powietrze”, gleba i lasy, że samochody, huczą jak bombowce. Przy szosie w prywatnej chałupie mieści się Wasza Agencja pocztowo-telegraficzna. Piętnaście kilometrów od powiatowego miasteczka. Wasz ostatni punkt rozdzielczy. Cóż on rozdziela? Listy, pisma, telegramy, rozmowy telefoniczne i paczki.

Ministrze, kiedy obejmowaliście stanowisko w rządzie, kręciłem głową. Dlaczego na poczcie idzie działacz Ruchu Ludowego? Działacz polityczny z tych „starych” a reżimów. Z tych co by mogli, jak Dec na każdym wiecu mówić o pięćdziesięcioletniej tradycji Ruchu Ludowego jako historii własnego życia. Z tych, co w ruchu „magna pars fuerunt”, co jeszcze odbijali się od Stojajewskiego i Stapińskiego. Ale nie ciągną tradycji tej epoki, w której chłopci szli „chmurami” i „ławą”, w której wódzostwo zdobywało się na „gościńcu”, a zaufanie za koszulę bez koinerzacji, za siłę mięśni, co metr pszenicy na wóz lekko rzuci, za fotografie wreszcie w „kapeluszu” przy mocce czy orce. Byliście — jak pisano, jeszcze o Was dwudziesto-paroletnim, doktorze — odrzuć mecenasem, prawnikiem, adwokatem — znaczy — inteligentem i nie tu nie pomagała rodzima Chocznia, i związek tej gromady i Rzeczpospolita Choczniańska i pismo sumptem chłopów z Choczni wydawane, byliście, byliście doktorze... inteligentem.

Na tamtą epokę nie była to najlepsza legitymacja do popularności. A jeszcze kiedy się miało dwa koniki: Reformę Rolną i społeczne grzechy kościoła i, kiedy się na nich jeździło, bijąc prawniczymi wywodami, adwokackim materiałem dowodowym, bijąc pasją historię, który szperał nie tylko po bibliotekach, ale po gminach, plebanich i dworach i „curiosa” wydobywał z „mroków średniowiecza” i inne osobliwości z późniejszych czasów, jak chłopskie śluby cywilne z pierwszych lat dziewiętnastego wieku (prawo cywilne Napoleona), jak wraz ze zniesieniem pańszczyzny próby na Sejmie Galijskim zrzucenia przez szlachtę ciężarów fundacyjnych i konserwatorskichłożonych przez nich dotąd na kościoły — zrzucenia na chłopów...

Ale się zastanowił i myślę dzisiaj inaczej. Niezły my mamy na wsi instytucji i jakie? Najstarsze, to kościół — plebania, dwór i karczma, potem gmina i targowisko w miasteczku, potem pod koniec wieku XIX szkoła ludowa, równocześnie pierwsze Kółka rolnicze, równocześnie najazd przedsiębiorstw przemysłowych: gorzelnie, młyny, cegielnie, cukrownie, wapienniki, potem początek domów ludowych, kół i świetlic młodzieży wiejskiej, potem agencje pocztowych (na gminę jedną), potem sklepików spółdzielczych, mleczarni, Teatrów i Uniwersytetów Ludowych...

Zaszyły i zachodzą zmiany. Padł dwór, padła jeszcze wcześniej karczma. Gmina, jak w Galicji ciągnąca za sobą tradycję „mandatariuszów”, narzędzie obcych rządów i układny lis wobec dworu i plebanii, a w ostatnich międzywojennych latach narzędzie rządu antyludowego — jest dziś do zdobycia przez chłopów w ich nowym powszechnym awansie kulturalnym. Dziś nazywamy ją Gminną Radą Narodową i nazwa ta wskazuje na nową funkcję społeczną terytorialnego samorządu. Na przestrzeni kilkunastu gromad funkcjonować ma teraz Rada Narodowa Chłopów. Instytucja, która w zasięgu okolicy, zamieszkałej przez chłopów znajdujących się z osobistych kontaktów obejmuje swoją opieką i planowaniem wszystkie indywidualne i zbiorowe potrzeby, wszystką jednostkową i instytucyjną działalność — tak aby w nich tętniło życie narodu. Aby z kraju szły dobra, narzędzia i wzory do tej małej ojczyzny, jaką jest każda terytorialna „ojcowizna”, i żeby stąd każdy wysiłek, każde osiągnięcie i za-

miar tworzyły zapis w nowoczesną ludową Polskę.

Obywatelu Ministrze, pozwólcie jeszcze chwilę nie o Waszej poczcie, a o Radzie Narodowej. Mówiłem o przemysle na wsi, prywatnym przed laty, nie chłopskim, dziś on jest w części państwowym (ale państwa chłopsko-robotniczego), a w części społeczny, spółdzielczy samej wsi. Potężną część majątków z Reformy Rolnej wydzielono na ośrodki elitarne (zboż, hodowli bydła, jarzyn, sadów). Będą one pracować dla podniesienia intensywności i jakości wyłącznie chłopskiej produkcji rolnej... te dawne, prywatne dobra pańskie.

Na obszarze gminy unifikuje się ruch spółdzielczy, przemysłowy i handlowy w jedną spółdzielnię Z. S. Ch. Na terenie całej Polski istnieje jedna organizacja spółdzielcza, w której spółdzielczość chłopska wzrasta organicznie. Związek Samopomocy Chłopskiej staje się organizacją uniwersalną na wsi, łączącą wszystkie interesy zawodowe i branżowe chłopów-rolników i chłopów-przedsiębiorców.

Izby rolnicze dostają się dziś pod społeczną kontrolę wsi i stają się instrumentem jej gospodarczej organizacji. Oczy nasze obrócone są na Urzędy Ziemskie. Na resztówkach osadza się w tysiącach Szkół Rolnicze, spółdzielnie przemysłu rolnego, świetlice, w setkach „Domu Dziecka”. Uniwersytety Ludowe, gimnazja chłopskie.

Oto nowe to społeczno-gospodarcze Gminnych Rad Narodowych. Ubył dawny patron — dwór. A plebania zmienia taktikę. Rozmawiałem z kilku proboszczami. Powtarzają dwie tezy: 1) chłopu można powierzyć państwo, on już dojrzał, 2) i nie się nie da zrobić przez rewolucję, tylko drogą ewolucji.

Przyjemnie jest słyszeć pierwszą tezę, choćbyście Wy Ministrze zaraz sięgnęli do stosu akt dokumentujących, że parę jeszcze lat temu, zażyłe stosunki plebanii z dworem nie składają jej do głoszenia pochwały chłopskości. Co się stało a odstąpić się już nie da nazywają proboszczowie — ewolucja. Zaiste, osobliwa to ewolucja, która tych starców u schyłku ich życia, nagle, nazajutrz nowej Polski oślnię widzeniem chłopskiego władztwa. Co zaś się dopiero staje — nazywają jednak po staremu — rewolucja. Dziwnie toczył się nasz dyskurs. Pytałem grzecznie — więc którzy to chłopci dorosli do kierowania losami narodu? Czy ci z bractw nabożnych a bez szkół, placący świętopietrze i fundujący kościoły, kaplice i krzyże, a nie fundujący swoich szkół powszechnych, nie opiekujący się pocztą, zdolnymi dziećmi, nie organizujący się gospodarczo? Dlaczego miodem smarujecie tylko chłopów, chwalcie obecnie ich prawo do rządu, do stanowienia o Polsce, a przemilczacie tysiące nowych, konkretnych zadań społecznych, oświatowych i gospodarczych, które w każdej gminie i wsi stają dziś przed chłopami, aby ich władztwo stało się rzeczywistością, aby Polska Ludowa była dziełem ludu, który nie tylko dostaje ale wytwarza i stwarza sam? Dlaczego was przeraża rozmach, jak musi towarzyszyć powszechnemu awansowi społecznemu wsi? Jakże to chcecie, aby ten sam kalkulujący was w ręce chłop ze „zgiętą, uniżoną duszą” zasiadał w fotelach starostów, wojewodów i ministrów?

W jednym z „Domów Dziecka” miałem sprawę z byłą dworską pracownicą. Maż jej zginął na tej wojnie. Ona dostała trzy hektary z Reformy Rolnej. Teraz syna powołano do wojska. Umówiliśmy się że przyjdzie do pałacu i naradzimy się. Przyszła i... stała w sieni, w kacie, choć tam dołatał śpiew dzieci, na Boga, chłopskich, tu wypoczynujących. Ona znała rozkład pałacu, ona ma 3 h z Reformy Rolnej, jej syna powołuje nowe, demokratyzowane Wojsko Polskie, ale ona po dawnemu w sieni i kacie. Czemuście to nie wyłumaczyli takim kobietom, czym teraz jest ten pałac, czemuście nie wyjaśnili z jakiego nieba spadł na chorągiew biało-czerwona jaka nad nim powiewa, napis „Dom Dziecka”? Czemuście to nie ułatwili im „dorosnąć” do otrzymanych trzech hektarów ziemi, na której ich starsi synowie wyhodowali w sobie takie kompleksy niższości, że jak mi mówiła ta stara kobieta: „z tego najstarszego to ino gospodarz, o, z tego łokna pon tak na niego pohlukował (syn konie oporządzał), że un się lęka wyjrzeć kajsi na świat, inoby woloł kolo pola. Ten mój najmłodszy (12 lat, 6 oddział)

ten się piknie uczy i śmiały jest i kowalowi pomógł lokomobile narychtować, teraz młóci się zboże całej wsi”.

Czy myśmy mieli tej kobiecie dać tylko trzy ha ziemi? Jeżeli tylko tyle, to prawie żeśmy jej krzywdę wyrządzili. Należała ona dotąd do systemu dworskiego. Z dziada, pradziada był on rzeczywistością nicmniej pewną jak pory roku, jak noc po dniu. Ciężka rzeczywistość, ale znana, określona. W tym porządku wychowała się ta kobieta, lęków, poniżenia i nędzy pełna. Ale lęki i poniżenia uczyły ją siły systemu, któremu podlegała. Aż tu naraz... 3 ha ziemi z tego systemu. Zostawiliście proboszczowie duszę tej kobiety ewolucji. A ona przechodzi chaos rewolucji. Najboleśniej chaos. Ma ziemię z lękaną „dworskiej najmity”. Ma ziemię z „cudu”, bo stoi w kacie pałacowej sieni. Nie podniosła się jej chłopska godność przez ziemię. Nie widzi nowych związków, nowego oparcia społecznego. Nie jest świadomą siłą popierającą nowy ustrój, który ją wyniosł. Nie wie o nim, jak wiedziała o wszystkich dozwolonych i nie dozwolonych szansach, jakie dawał dwór. Ma ziemię i syna chce uwolnić od wojska. I nie wie, nie rozumie, że syna wzywa Polska, aby zeń uczynić pewnego siebie obywatela nowego ładu społecznego. Aby, kiedy wróci, umiał zrealizować nowe szanse wsi, które nie zostawiają po dawnemu chłopu zdanego na siebie samego.

I jeżeli my to za was robimy, proboszczowie, to czy to się nazywa rewolucja?

Obywatelu Ministrze, nie pisałyby o tej kobiecie gdyby ona była odosobnionym przypadkiem. Nauczyciele ludowi są złe płatni, na poczcie urzędnicy złe płatni. Nauczyciele uciekają ze wsi, na poczcie mało kto się kwapi. Ale podczas okupacji, a i dziś jeszcze tam, gdzie są chłopskie gimnazja na wsi, daje się pięćset złotych za naukę, 800 zł za internat — miesięcznie. Tej prawdziwie trzeba spojrzeć w oczy. Mówi ona, że tradycja szkoły powszechnej, utrzymywanej na koszt państwa zahamowała chłopów w latach okupacji w akcji wspierania nauczyciela. Brał pensję z rąk Niemców i doś. Dorabiał dopiero na tajnych kompletach wyższych klas szkoły powszechnej, dopełniając program zakazany przedmiotami. Dorabiał sposobując do niższych klas gimnazjum. Na to pieniądze chłop dawał, bo były to zakresy nie objęte tradycją bezpłatności. A przeciwnie, obciążone tradycją dużych kosztów (stancja w mieście, czesne, ubrania). A tu na miejscu, kalkulowała mu się ta edukacja taniej. I nauczyciel wiedział, że wiążąc koniec z końcem, osiąga ten stan nie dlatego, że chłopski komitet rodzicielski dba o jego egzystencję, aby on mógł swobodnie prowadzić instytucję oświaty w/g trzech społecznych kryteriów: 1) największa ilość uczniów, 2) najzdolniejszych, 3) najwyższy stopień wiedzy.

Przeciwnie, wiedział, że to jest dla nich towar, jeden, jak kamienie na polu, z których można nie placąc budować mur — to przepiękna szkoła powszechna, drugi, poza przepiękną, za który się z nim ugadywano i trzeci — „gimnazja”, na które wiadomo, że trza dobrze kabzy rozwijać.

Zmuszony sprzedawać towar wiedzy nauczyciel czuł, jak łamie swoje wysokie posłannictwo. Pieniądz, cena oddawały go na służbę najbogatszym, choćby najgłupszym. Cena nie pozwalała włączyć do kompletu niepiacących. To groziło protestem ze strony placących i obniżką. Na tej służbie brakło mu już czasu i siły, aby ekstra douczać tamtych najbiedniejszych i najzdolniejszych.

Dziś kiedy przepisowa stała się zpowrotem pełno-przedmiotowa szkoła powszechna, kiedy odeszły gimnazjalne kursy, nauczyciel przemiłera głodem. Wodzireje polityczni krzyczą: Państwo za mało płaci! Głupi byłby rząd, któryby swojemu aparatowi nie dał najlepszych warunków egzystencji. W państwach faszystowskich czyniono to bezwzględnie. Instrument musiał być podsmarowany, aby działał niezawodnie. Jeżeli nauczyciele są złe płatni to znaczy, że demokratyczne państwo nie chce wymuszać sztywnym prawem podatkowym tego, co winno być dobrowolną dojrzałą ofiarą społeczeństwa w okresie przejściowym. Ludzie aparatu nowej Polski Ludowej do działania o największej świadomości i ofiarności społecznej. Takimi winni być! Wymowa ich ofiary i poświęcenia niechże wodzirejom politycznym uprzytomni ich grzech. Nie organi-

zują społecznej pomocy chłopskiej instytucjom, których korzyść jest nieproporcjonalna do kosztów na nie włożonych, a możliwych. Niechże ci wodzireje polityczni zmuszą bogatszych do danin, któreby zapewniły biednym a zdolnym przybór do gimnazjów i szkół zawodowych. Chwalimy się Uniwersytetem w Gaci, ufundowanym ze składek chłopskich. Ale ten przykład jest nie w mniejszym stopniu świadectwem naszego nieuspołecznienia. Dwadzieścia milionów chłopów złożyło 12 tysięcy złotych. Takich Uniwersytetów moglibyśmy wystawić 100. Przysłowiowe jest nie płacenie przez nas składek na stowarzyszenia, kół i stronnictwa. Czy wodzireje polityczni walczą z tą tradycją, czy rozumieją jej tragiczny sens?

W tej wsi jest ogrodnik z dawnego pałacu. Chłop, który wędrował po Europie i specjalizował się na fermach ogrodniczych. Teraz pracuje w tym samym ogrodzie w „Domu Dziecka”. Kradną — powiada — owoce, jarzyny, bezmyślnie, wściekle, wyrrywają, niszczą. Od miesięcy próbuje zawiązać bezpłatny kurs. W żadnym gospodarstwie nie ma cebuli, marchwi, pietruszki, pomidorów, ogórków. Jest dlatego sakramentalny żur. Czy wodzireje polityczni pomogli ogrodnikowi w tej akcji? Ech! Ich słów są te kradzieże, miast rozwoju kultury ogrodniczej. Wodzireje nie pomyśleli, że ten ogrodnik to nowoczesny polityk wsi. On wprowadza w praktykę to, co wypracowała teoria! Taka jest nasza rewolucja!

Nasza rewolucja oddała na służbę wsi siły naukowe. W szeregu wspaniałych pism fachowych i rolniczych piszą profesorowie Uniwersytetu. Budownictwu chłopskiemu profesorowie-architekci przygotowali wielostronne plany (betonowe, gliniane, drewniane). Są książki tak wyłożone i zilustrowane, że stary cieśla albo zdun z pomocą syna z powszechniaka śpiewająco będzie stawiał. Są tam obliczenia w skali odbudowy całej Polski, postulaty i wskazania, z którymi liczy się plan budżetowy państwa. Są pisarze chłopskie skupieni w swoich wysiłkach, aby pismem co tydzień zastąpić współczesną książkę, o bogatej treści, a której tak brak i tak potrzeba na wsi. Jest kilkadziesiąt ludowych pism informacyjnych, zawodowych, technicznych, politycznych. A nie w Polsce nie kosztuje taniej nad zadrukowany papier, a nie bardziej nie jest pilniejsza nad jego treść objaśniająca ku czemu idziemy, co możemy i jak osiągnąć — ale też niczego mniej na wsi, niż tej korespondencji z narodem, ze światem, z nowym porządkiem.

Idźcie tam, chcąc zakomunikować Ministrze Poczty i Telegrafów. Nadajcie depesze z placówki jutra chłopskiego, jutra Polski. Wasza agencja pocztowa, obsługuje dwanaście wsi. Ile — myślicie Ministrze — wychodzi z niej listów chłopskich na miesiąc? 500! Na jedną wieś wypada 40 listów wychodzących, t. zn. że co 4 rodziny jedna osoba pisze raz na miesiąc. Z „Domu Dziecka” wychodzi 1000 listów, znaczy to, że każde dziecko, które tu przebywa tylko 6 tygodni, dziecko chłopskie i robotnicze pisze pięć razy na miesiąc. Tyle... dzieci. (Skąd mają pieniądze? Część z domu, a część z zarobionych przez siebie na grzybach, na pomocy w ogrodzie, z nagród).

Ministrze, a ile przychodzi listów do chłopów? Tysiąc! Dwa razy więcej niż wychodzi. Paczek wychodzi dziesięć, przychodzi sto. Z miast Polski, ze Śląska, z Francji, z Ameryki. Obywatelu Ministrze, z liczb które przytoczyłem wydaje się, że to naród, że to miasto interesuje się bardziej wsią niż ona ży ciem Ojczyznę, że to nieprawda, że wieś pozostawiona jest sobie. A bardziej prawdą, że ona się izoluje, że ona rwie kontakty, ona ich nie pomaża.

Z rozmaitych stron donoszą mi chłopci, że postawili zagrodę nowoczesną, w/g „świeżego” planu. Obywatelu Ministrze — ci pisali listy. Ich listy obrodziły korzyściami społeczną i prywatną. Obrodziły, wzniesieniem kulturalnym. Ale z ilu wsi szły listy pytające o plany domów, o narzędzia, o towary, o szkoły zawodowe, o kredyty na spółdzielnie, o zelektryfikowanie, o radio, o pisma, o instruktora świetlicowego, o agronoma, technika, o nauczyciela i t. d.? Kto ich do tego dowiadywania się zachęcał? Polska czeka na pytania, prośby, inicjatywę. Polska się do nich odbija setkami pism i książek. A wieś ktoś nadal odgradza chińskim murem. Jest w tej

*) Ministrem Poczty i Telegrafów jest dr Józef Putek, czołowy działacz Ruchu Ludowego, rozpoczynający polityczną działalność jeszcze w epoce Stapińskiego, autor książek historycznych i etnograficznych szczególnie popularną na wsi była: „W mrokach średniowiecza”.

chwili okres wybierania się na uczelnię, do szkół zawodowych i technicznych. W rozmaitych pismach przedstawione zostały typy szkół, warunki wstępne i dalsze. Ile z tych wiadomości przeniknęło na wieś? Na ilu uczelniach będą chłopscy synowie spóźnieni? Kto ich natarczywie i zawzięcie kieruje i popiera. W województwie śląskim do Szkoły Leśnej zgłoszonych zostało ponad dwieście podań na 50 miejsc. Do rozpatrzenia poszły podania sygnowane. Czy na wielu podaniach chłopskich nie brakło tych „popieram”? I czy tylko dlatego, że brak im popierających? Brak jest organizacji we wsi, w gminie, brak odpowiedzialności społecznej za to, kto dostanie się do szkół wyższych. Ospałość minionej epoki Ruchu Ludowego ona sprawiła straty i dzisiaj, a jakich mogłoby już nie być. Tej żwawej, utylitarno - społecznej polityki brak na wsi, a to jest nasza rewolucyjna polityka!

Obywatelu Ministrze, a wiecie ile tu pism dochodzi? Posłuchajcie wyliczyć Wam. 12 wsi, ludności około 7 tysięcy. Punktów wysyłkowych na gminę 41. I tak:

Nazwa pisma	Punkty	Ilość	Opiata
Rycerz Niepokalanej	4	170	bezpłatnie
Dziennik Ludowy	18	18	płatne
Chłopski Sztandar	8	8	płatne
„Wici”	5	5	trzy bezpł.
Chłopi	4	4	dwa płatn.
„Wieś”	2	2	płatne
	41		

Co nam ten wykaz mówi? Że życie młodzieży jest uśpione. Trzy egzemplarze „Wici” w jednej wsi, po jednym w dwóch innych, w dziewięciu pozostałych wsiach młodzież odciega od świata. Ten wykaz mówi, że społeczne życie zawodowe i gospodarcze nie istnieje tu, a przecież w okolicy rozparcelowano 9 majątków książąt i hrabiów. W pałacu jest elektryczność, szosa przebiega linia węzłowa, są lasy, ludzie się budują i potrzebują budować, tu na majątkach kwitła wysoka kultura ogrodowa — ale niema pism rolniczych, technicznych, spółdzielczych, niema, niema...

Najwyższy wskaźnik odnosi się do pism politycznych. W każdej wsi jest „Dziennik Ludowy”, w kilku po dwa egzemplarze, nie we wszystkich „Chłopski Sztandar”. Ale jakże to śmiesznie niska cyfra. Te liczby mają datę nie 1946 roku, ale chyba jeszcze 1890, kiedy wystarczyło, że jeden na wsi, chłypej czytający „durkowane”, dukał zebranych sielsko chłopom w nagrzane południe niedzielne, ale wówczas byliśmy „serdecznym ludem”, wówczas były pańskie latyfundia, książęce mitry, w Sejmie, Zamojscy jeszcze w trzydziści lat potem kandydatami na głowę państwa. I taki to lud ma rządzić sobą i narodem dzisiaj? Marian Kubicki wrócił w tych dniach z Czech: wychodzą tam codziennie pisma ludowe w nakładzie 200.000 egzemplarzy, podczas kiedy u nas w roku 1938 nismo miejskie, sensacyjne i oportunistyczne „IKC” zdobyło rekord w nakładzie, nie osiągnąwszy nawet 100.000 egzemplarzy. Osądzmy te różnice. Osądzmy to, że robotnik nasz dziś czyta codziennie 5 pism, a w gminie na 7 tysięcy ludzi czyta 40 chłopów po jednym piśmie.

Ministrze, czy wiecie, że wasze przedsiębiorstwo pocztowe jest deficytowe? Budżet tej Agencji, z której list do Was piszę, obraca się w granicach 12 tysięcy złotych miesięcznie — 6.000 podwoda (płatna, a jakże!) i tylko co drugi dzień, 5.000 pensje czterech pracowników. Ale Ministrze, dochód Wasz ze znaczków na listach i paczkach, z telefonów i depech nie sięga tej sumy? Ministrze, płakać się chce.

W cztery punkty idzie Rycerz Niepokalanej. Na każdy punkt około 50 egzemplarzy — bezpłatnie. Smutne to, że plebania, która jest najstarszym na wsi kwestarzem i najobfitsze dawniej i dziś zbiera „świątopietrze”, ona nie tylko nie nauczyła chłopów garnąć się do świata, ale ich oduczyła i oducza w dalszym ciągu. Ta propaganda bezpłatna — jakże obfita za światobliwe chłopskie grosiwo — utrwała starą, ludową tradycję izolacji środowiskowej. Świat poza krzyżem gromadzkim nie ma ceny, nie ma wartości. Nie wyciągają się do niego ręce, nie nastuchują uszy, nie wypatrują oczy.

Rozsiewacie darmo, proboszczowie, jak z kropielnicy chrzest różnobarwnych pisemek. Gotowa, długotrwała tradycja oczekuje na ich przyjęcie. Wiecie o tym, ale wiecie również, że to co późniejsze, co świeższe rozbiła się o waszą obfitą darmość. Bo tak, jak na starej wsi była naturalna pomoc sąsiedzka, jak pożyczki bez weksla, jak wieść darmo z gęby do gęby noszona, tak i wasze piśmka wypełniały gromadę, jako grupę religijną, wypełniały ją jako składowy element naturalnego układu wsi wydzielonej i zamkniętej w sobie.

Konkurujecie dzisiaj nie tylko swoimi piśmami, konkurujecie inną tradycją kulturalną, z którą bili się przed 40 laty „zaraniarze”, z którą bili się w latach międzywojennych „Wiciarze”. Ale nie tylko robicie to wy — świadomie, czy nie świadomie. Robią to i inni.

Obywatelu Ministrze, śmiem twierdzić, że nie ma i dziś jeszcze na Polskiej wsi demokracji. Bo demokracja wymaga świadomych rzeczy obywateli. Pytam Was, czy byście nie powiększyli personelu Waszych Agencji, gdyby do nich wpływało 5, 10, 50 razy więcej listów, paczek i pism? Pytam Redakcji Pism, czy nie mnożyłyby w setki tysięcy nakłady swych pism, gdyby je tu na wsiach odbierano? I pytam poraz trzeci, kiedy sa warunki na demokrację, czy w sytuacji, jaka opisalem, czy w sytuacji, jakiej wyobrażenie dają nam czeskie nakłady?

Toż przecież wieś nie wie nic o życiu Państwa, nie wie nic o swoich stu tysięcznych możliwościach. Odpowiedz mi, że wystarczy, aby jeden wiedział na wsi, jeden na gminę.

Słyszałem przed paru dniami, jak na kursie wojewódzkim „Wici” prelegent odpowiadał szeroko gimnazjalistom i akademikom o ważności kontaktów osobistych, jako w tych pogwarkach towarzyskich najwięcej się dowiedzieć można.

Ale ów prelegent zamlecał o istocie kół młodzieży wiejskiej. O jego historyczno - społecznym znaczeniu na wsi. Koło i świetlica to było wyjście wsi z tradycji ustnej mądrości starców w izolowanej gromadzie, to było przez pisma, przez książki, radio, kursy i wycieczki wybicie okna na świat.

Ktoś to okno dzisiaj z premedytacją zamyka. Komuś na tym zależy.

Obywatelu Ministrze, dużo się w nowej Polsce mówi o demokracji, więcej jeszcze o jej braku. Żąda się „wolnych” wyborów. Podkreśla się to żądanie tak, jakby jego spełnienie było zagrożone. Pomstuje się, że są odwieka. Ale co to znaczy „wolne wybory”? Czy tylko — wszyscy przy urnach i gwarancja nie zafalszowanych kartek? A zafalszowane głosy, które idą do urn? To wolne wybory? A demokracja ludowa to lud, któremu na 200-tu chłopu jeden receptę przyrządza? A na to wskazuje przedstawiony wykaz.

Mamy legalną opozycję rządową. Mamy jej najwięcej na wsi. Niechby była. Ale w jakich warunkach ona się odbywa? Czy każdy chłop-obywatel wie z pierwszego źródła czego chce rząd? Co się w Polsce dokonało, do czego się zmierza? Co on może już dzisiaj zbiorowo i pojedynczo osiągnąć i jak? Nie wie i opozycja czyni wszystko aby nie wiedział. Jest paradoksalna sytuacja. Pisma opozycji wiodą jeszcze bardziej dychawiczny żywot na wsi. To tylko w Warszawie i po miastach czytana jest łapczywie „Gazeta Ludowa”. Kto ją czyta? Tak zwany średni stan, ten sam, o którym na Plenum Zarządu Z. S. Ch. St. Cieślak mówił: Chłop sprzedał za dwa tysiące złotych metr pszenicy w Warszawie, wypieczętował to białe pieczywo, kosztowało 8 tys. złotych. Kto stracił? Chłop i robotnik, kto zyskał 3/4 „nadwartości”? — Stan średni.

Dlatego pisma opozycji nie rozchodzą się na wsi? Bo przedłuża się na wsi propagandę, charakterystyczną dla okresu okupacji — propagandę mówioną, propagandę plotki, wieści i legendy. Jest ona bliźniaczą siostrą tego systemu społecznej komunikacji, jaki cechował wieś polską przed pół wiekiem.

Wybaccie, ale legenda, ale wieść, ale plotka na „słowo honoru” to nie jest instrument informacji demokratycznej. To nie jest instrument nowoczesnego państwa. A my przecież dziś chcemy demokracji. My dziś jesteśmy od-

powiedzialni bezpośrednio za losy narodu. Więc jakże to? Jak na murzyńskiej wsi łoskot bębna „Mzimu” wystarcza nam do solidarności grupowej, do gotowości „niech żyje i precz”? Wystarcza nam agitator, który z jakiegoś takiego rozsądku jaki mamy pojedynczo ograbi nas na wiecu i wywoła owczy pęd, i zagra na psychologii tłumy? Wystarcza nam niesiony od chałupy do chałupy poszept? I w takich warunkach ludzimy się, że nasza się staje wola? I nie zdajemy sobie sprawy, że zrzekamy się największego prawa demokracji — prawa do osobistego wiedzenia i osobistego sądzenia? A z jakiejże racji przekazujemy to prawo krzącym lechaczom „chłop potęgą jest i basta”, z jakiejże to racji naszym rozumem ma wlaść ich „omnipotencja”?

To co oglądam na tej ostatniej, wiejskiej rozdzielni pocztowej to nie jest walka dwóch racji nowoczesnego państwa. To jest walka przeszłości odległej ze współczesnością. To jest zamknięta szczelnie, odosobniona wieś i gmina, która się natrząsa z Waszej Agencji, Ministrze. Ten telefon polowy (od wojska dar), na którym trzymam rękę, znaczy tu tyle, co monstrum z fantastycznej opowieści. Między bajki kładziony, a nie między dawne a nowe lata wsi rzeczywistej. Ta wiązka mizerna pism, każe mi myśleć o sienkiewiczowskiej Trylogii, gdzie to wśród ludu Zaporoskiego wieść się rozszala, że pismo spadło na ołtarz w Ławrze Pieczęrskiej. A w tym piśmie stało, że wojna i wielkie krwi przelanie...

„Ludu mój ludu...” czy tak się sprawuje rządy nad swoim narodem?

Ta poczta, której sufit przecieka, w której kierowniczka bierze 1.300 zł i nic krom tego, niechże świadczy, jak nisko stacza się opozycja. Werbuje chłopów nie czytających pism i książek, nie organizujących się gospodarczo i ten zastój i ta powszechna niewiedza oto jej fundamenty.

Ja nie żartuję, ja oskarżam stanowczo. Bo nie macie dla mnie odpowiedzi, nie piśmem politycznym, informacyjnym, praktycznym - doradczym, spółdzielczym, rolniczym, oświatowym, wy tu masą rządzących, wy nią rządzących przez ominięcie tych środków, choć one obowiązują nowoczesne narody. Wam wystarcza jedno pismo z „Ławry Pieczęrskiej”, od którego wieść w lud idzie. Możecie mieć lud, ale pod warunkiem że on będzie tłumem i masą albo ichmość sobie-panem na zagrodzie otrząsającym się od nowinek, „staro wiernym” wedle dziada pradziada.

Ale kto wówczas kłamie o demokracji? Kto wskrzesza feudalne rządy nad umysłami w ciemnocie i bierności przytrzymywanymi? Taką jest wasza opozycyjna taktyka przedwyborcza.

Jeszcze, Obywatelu Ministrze, dwa słowa o Agencji. Kierowniczka jest miastowa. Przed wojną nastąpiła na wieś czeska, jakich była spora kolonia na Wołyniu. Właśnie pocztę otwierano na wsi. Jakaż to była uroczystość: fotograf, obchód, przyjęcie. To była wielka sprawa gromady. Jakże o tę rozdzielnię dbano? Gromadzki budynek, poczekalnia — czystelnia. Jak dbano o urzędników? Kartofli, maki, jarzyn, owoców, mleka kierowniczka nie kupowała. I nie obdarowywał jej nikt pojedynczo. Komitet, Komitet uchwał, że państwowe pieniądze na opłacenie lokalu, odnoszenie do domów i sprzątanie zostaną przy pracownikach. Ciężar ten przejmie wieś. Dziś pracuje od 8 rano do 9 wieczór i wówczas nie krócej choć dobrowolnie, ale z jaką satysfakcją. Poczta to było oczko w głowie całej wsi, spojrzenia, wypowiedzi, zainteresowanie powszechne i dbałość uskrzydlały tę kobietę w pracy. Pożyczala pieniądze, a kiedy awans zabierał ją ze wsi, ostatniego dłużnika gromada przynagliła do natychmiastowego sprzedania zboża na dług, aby nie mówiła w świecie źle o ich wsi, nawet nie o czeskiej... o ich wsi.

Tu mówi, mała pensja (1.300 zł), ale rozumie dobrze, że przychód nie pokrywa rozchodu to i skądże więcej. Tylko dlaczego wieś? Oto jej cichy, spokojny, latami rozmyślań, odważony żal. Dlaczego wieś mleko jej sprzedaje odciegane, każąc sobie płacić za pełne. Dlaczego listów tak mało, dlaczego pism strasznie mało. Tam, na czeskiej w Polsce wsi, każda gospodyni prenumerowała tygodnik kobiecy. Dlaczego poczta jest niczem tu? Tam, aby postać — ludzie przychodzą. Siadali w poczekalni i patrzyli na tych, co odbierają albo nadają, tam się weszczynały rozmowy, dyskusje, tam się poczta po nocach dzieciom śniła. „Wracam do męża, do miasta. Tym razem bez żalu. Ale żal mi, że chłopska córka, albo chłopski syn nie idą na pocztę. Przecież to placówka kultury, placówka postępu na wsi. Któż ją, jak nie wy, powinien prowadzić? Zróbcie aby ta instytucja łącząca z Polską stała się na wsi tak potrzebna, jak powietrze”.

Ministrze, czyście wszystko, aby Poczta Agencji Wiejskie stały się tak potrzebne, jak powietrze.

To jest przecież nasza rewolucyjna polityka!

Jan Aleksander Król.

Leonard Sobierajski

Akcja: „Przemysł dla wsi“*)

Byliśmy świadkami faktu, który w tej postaci mógł mieć miejsce tylko w dzisiejszej rzeczywistości. Do stołu obrad konferencyjnych zasiadają równorzędni partnerzy: przemysł i rolnictwo. Wymiana propozycji postulatów nie toczy się w atmosferze jakichś wzajemnych targów, podejść czy zaskoczeń. Interes obywatela — chłopu czy robotnika jest tu obustronnie z dobrą wolą uzgodniony. Jedna strona nie stara się gościć w drugą dla własnych korzyści, strony wykazują właśnie pełne wzajemne zrozumienie. Konferencje, które się odbywały w czasie Zjazdu, były naturalnie poprzedzone długą pracą przygotowawczą, którą podjęły instytucje tak przemysłowe jak i rolnicze. Tu zebrano się, by wymienić już owoce tej pracy. Ideologowie gospodarczy rolnictwa analizując stosunek cen artykułów przemysłowych do artykułów rolnych, stwierdzali ostatnio, że stosunek ten kształtuje się, na niekorzyść rolnictwa — gospodarka rolna przestawałaby w tym układzie być opłacalna. Ta perspektywa jest groźna rzecz prosta dla każdego chłopu - rolnika indywidualnie, ale jest tym samym i groźna dla całej gospodarki państwowej. Bo jaki wytworzyłyby się stan? Ceny uzyskane za artykuły rolne pozwoliłyby chłopu opłacić tylko własne utrzymanie i koszty produkcji, zabrakłoby mu pieniędzy na inwestycje potrzebne w gospodarce rolnej, a więc nawozy, maszyny rolnicze, na konserwację budynków, które należałyby traktować jako warsztat pracy. Doprowadziłoby to do cofnięcia się naszej gospodarki do systemu pierwotnego. Państwo nowoczesne musi mieć jednak i rolnictwo postawione nowoczesnie, musi więc chłopu tak urządzić, by miał on możliwość nowoczesnie produkować i nowoczesnie swoje artykuły zbywać. Stąd zakrojona na szeroką skalę akcja dla wsi.

NOWA POLITYKA GOSPODARCZA

Nie jest rzeczą obojętną przypomnieć, że właśnie termin zjazdu zbiega się z drugą rocznicą wydania dekretu o reformie rolnej. Dekret ten w sposób rewolucyjny zmienił strukturę naszego rolnictwa. W okresie mię-

dzwojennym mieliśmy drobne warsztaty rolne, których właścicielem był chłop — uprawiał on 56,2 proc. ziemi użytkowej; 43,8 proc. należało do wielkiej własności. W przedwojennym układzie sił społecznych i polityka gospodarcza szła po linii interesów tej warstwy, która skupiała w swym ręku wpływy, a więc po linii, gdy chodzi o rolnictwo — wielkiej własności. Chłop wówczas reprezentował typ gospodarki hodowlanej, wielka własność typ gospodarki nastawionej na produkcję zbóż. Produkcja zbóż była wówczas przez państwo uprzywilejowana. Właściciel wielkiego warsztatu rolnego mógł zboże zbywać po cenach hurtowych, mógł również i zakupywać artykuły inwestycyjne od przemysłu także po cenach hurtowych. Rolnik drobny był w sytuacji diametralnie różnej: sprzedawał i kupował po cenach drobnych, — detalicznych, płacąc tym samym bardzo dużo na rzecz całego szeregu ogniw pośredniczących. Dziś na tym odcinku sytuacja zasadniczo się zmienia. Państwo jako dysponent artykułów przemysłowych wychodzi samo na przeciwko konsumenta - chłopu. Między nim, a odbiorcą staje aparat rozdzielczy — Spółdzielnia. Cała polityka przemysłu nastawiona jest na to, aby produkować jak najtaniej, dostarczać bezpośrednio odbiorcy jak najsprawniej. Cena artykułów przemysłowych tak została skalkulowana, by mogła być dopasowana do możliwości nabywczej drobnego rolnika. Tu właśnie widać maksymalną dobrą wolę ze strony państwa.

Stanisław Cieślak, ideolog gospodarczy chłopskiej instytucji Z. S. CH. wysunął niedawno tezę, że ceny artykułów rolnych muszą wobec przemysłowych być w stosunku przedwojennym plus 20 proc. dla rolnictwa. To znaczy, że artykuły przemysłowe muszą być tańsze o 20 proc. od stanu przedwojennego. Taki układ cen da opłacalność rolnictwu, to znaczy stworzy mu możliwość przebudowy, zmodernizowania warsztatów rolnych.

AKCJA DORAŻNA CZY DŁUGOFALOWA

Nasz aparat przemysłowy już został zmontowany i postawiony na tyle, aby móc rzucić obywatelowi większą ilość artykułów.

Taką właśnie poważną falę artykułów

przemysłowych ma się rzucić wsi polskiej. Nie jest to akcja doraźna, szturmowa, jak tłumaczy minister przemysłu ob. Hilary Minc, ale akcja, która rozpocznie regularną już wymianę artykułów między przemysłem a rolnictwem. Wymiana ta jest właśnie tak pomyślana, by postulat rolnictwa został wkałkulowany.

Artykuły przemysłowe jak wyroby metalowe, narzędzia rolnicze, nawozy, tekstylia uległy poważnemu potaniu, we wszystkich prawie wypadkach nie mniejszemu niż 20 proc. Rolnik — konsument nie jest więc dzisiaj obywatelem drugiej kategorii. Jego słuszne żądania są uwzględnione. Nie ulega wątpliwości, że nasz przemysł w stanie dzisiejszym nie jest jeszcze w możliwości zaspokoić całkowicie rynku wiejskiego. W każdym razie ilość i jakość jego produkcji będzie tak regulowana, by móc zadawalająco wieś obsłużyć. Na zaplanowany rok bieżący przemysł polski ma dostarczyć naszej wsi towarów za 50 miliardów zł. i to właśnie po cenach, które chłop będzie w stanie zapłacić. Ta akcja jest jak już powiedzieliśmy punktem wyjścia dla regularnych obrotów i wymiany gospodarczej między przemysłem a rolnictwem. Przemysł dziś jest nastawiony na konsumenta z uwzględnieniem jego możliwości nabywczych. Chłop powinien i musi brać udział w wymianie gospodarczej. Przed wojną 61 proc. ludności wiejskiej brało udział w konsumowaniu dóbr przemysłowych tylko w 16 proc. Było to bliskie stanu pierwotnego, chłop nie mógł korzystać z udogodnień cywilizacyjnych, chłop był prawie poza orbitą, jak powiedział na zjeździe inż. Bobrowski, obrotów gospodarczych.

Stanu idealnego od razu nie możemy się spodziewać, gdyż tak rolnictwo jak i przemysł znajdują się w stadium odbudowy, tym konieczniejsza i cenniejsza jest ścisła między nimi współpraca. Przemysł działający poprzez swoje instytucje: Centralne Zarządy Zjednoczeń Przemysłowych i rolnictwo, reprezentowane przez Z. S. Ch. pracują dziś nad tym, aby chłop przestał być „kmiotkiem” porającym się na swoich kilku morgach, ale aby stał się obywatelem - rolnikiem, który ma oparcie w państwie i może zawsze na jego pomoc liczyć.

*) Uwagi w związku z Zjazdem w Warszawie: „Przemysł dla wsi”, który odbył się 6 i 7 września br.

BYŁ DOPIERO szary, wilgotny świt, kiedy Piotr Kuryła zajechał galopem przed chałupę swojego ojca. Stary nie spał już od kilku godzin. Wstał wcześniej po północy i od razu zaczął się kręcić przy samogonie. Rano, musiał zwrócić aparat Staszakowi razem z dziesięcioma litrami bimbru, które mu się należały za przemyśność i spryt do budowania takich rzeczy. Miesiąc temu Maciej sam próbował zrobić aparat, ale po trzech razach kociołek rozlutował się i wyszła z tego tylko strata dwóch tysięcy złotych, wydanych na blachę, cynę i inne materiały. Staszakowi wszystko samo wychodziło z pod rąk, jakby nie wkładał w robotę żadnego wysiłku. Siedząc na taborecie, w małej komórcie bez okien, ciepłej i pełnej pary, Maciej myślał leniwie, ale bez odrobiny zazdrości, jak ten człowiek potrafi zrobić każdą rzecz, którą choćby raz trzymał w ręku. Zdolna bestia, nie dziw więc, że Leszek ze dworu ma z nim konszachty. Wczoraj przyszedł do niego do chałupy z jakimś nieznanym i Maciej, podsunawszy się pod okno, słyszał, jak radzili o broni i o polityce. Piotr też z nimi kombinował. Przyjaźnił się ze Staszakiem oddawna, a teraz we dwóch stowarzyszyli się z tym Leszkiem. Maciej rozmyślał niemało o ich robocie. Był kontent, że syn zadaje się z kuzynem dziedzica, jako równy z równym. Pochlebiał to jego ojcowskiej ambicji, chociaż park dworski, przedzielony od wiejskich zabudowań wysokim plotem i rzędem starych, rozłożystych lip, gniewał go i wzbudzał zazdrość. O te lipy właśnie miał wczoraj sprawę z młodym dziedzicem — Bucyną. Spotkali się na wąskiej grobli, łączącej park z łąkami nad rzeką. Bucyna siedział od kąpiel, dźwigając swoje wielkie brzuszysko i różne prześcieradła, przerzucone przez ramie. Mimo, że miał całkiem siwy łeb, a na twarzy pełno zmarszczek, był jeszcze ciągle „młodym dziedzicem”. „Stary” ani myślał umierać. Kręcił się po podwórku, jeździł dryndulką po polach, dobijał swoją starość, ale nie chciał dopuścić zięciunia do rządów. Miał w tej sprawie doświadczenie z przed 15-tu lat, kiedy mu ten leniwy brzuchacz zmarnował i przejadł pół majątku. Ta cicha walka wyobraźni i woli, w której do czynów nie dochodziło tylko z braku odwagi walczących, niezmiernie interesowała Macieja, wywołując wspomnienia rządów Bucyny, kiedy to tak łatwo było coś uszczknąć z dobra dworskiego. Stał się więc przypodobać młodym dziedzicowi i przy każdej okazji poprawiał jego samopoczucie, budząc w nim nadzieję na rychłą śmierć „starego”. I teraz, usuwając się na skraj dworskiej grobli, żeby przepuścić jego potężną postać, szukał w głowie, czymby go uradować. Bucyna zatrzymał się przed nim, jakby oczekując pochlebstwa.

— Co nowego, Macieju? — zahuczał, uchylwszy białą czapkę.

Z za zakrętu grobli wyszły dwie panny w kusych majtkach, świecące gołymi udami. Za nimi rozweseleni panice, synowie Bucyny i ponury Leszek. Zobaczywszy Macieja, Leszek uśmiechnął się i grzecznie uklonił. Kiedy towarzystwo minęło ich, Maciej zwrócił się do Bucyny.

„Mam zmartwienie, proszę pana dziedzica”.

Bucyna uśmiechnął się. „Wszystkie kartofle na tym kawałku, koło parku zmarnowały mi się, bo dworskie lipy zaciemniają mi całe pole. Póki starszy pan gospodaruje, to ja nic nie mówię, ale pana dziedzica — będę prosił, żeby kazał ścinać one lipy”.

Bucyna skrzywił się. Tłustą ręką obrócił dłonią do góry i tłumaczył:

„Wie Maciej, ile te lipy mają lat? One są starsze od całej waszej wsi. Ja ich nie zetnę. Lepiej niech Maciej odsprzeda nam ten kawałek pola”.

Teraz, siedząc na zydłu przy aparacie, Maciej spełniał na wspomnienie takiej hezji. Dla głupich lip odsprzedać pole! Jaka pańska chciwość! Podniósł się ze stolika i dołał wody do kotła. Przypomniał sobie znów Leszka, jego chmurną twarz w otoczeniu rozbawionych, pańskich dzieci. Dopiero przy chłopach odzyskiwał on wesołość i stawał się rozmowny. Umiał gadać. Raz zastał go Maciej u Piotra; po dwóch szklankach wódki rozgadali się o polityce. Leszek tłumaczył, że Wola zostanie po wojnie podzielona między chłopów.

„Wy — mówili do Macieja — weźmiecie sobie park razem z tymi starymi lipami, których dziedzic nie chce ścinać, choć przez nie gniją wam na polu kartofle... Będziecie mieli z nich opału na parę lat albo budulcu na nowe stajnie i stodoły”.

Maciej przytakiwał i przypijał w odpowiedzi do tego dworskiego odszczepieńca. Wiedział, co o nim myśleć. Ani chybi mścił się za to, że nie miał nic z majątku, choć był wnukiem brata dziedzica. Wojna zagnała go do dworu krewnych, gdzie uczył młodszych Bucyniaków. Ale

Witold Zalewski

Powrót Piotra

(fragment opowiadania)

głowę miał mocną. Wypił już trzy szklanki bimbru, rozgadał się o polityce, jednak nie powiedział nic takiego, żeby go można przyłapać: „robisz, bratku, to a to, skupujesz broń, jesteś konspirator”.

Nawet mitygował Piotra, który upił się i bełkotał coś o karabinie maszynowym. Staszak patrzył swoimi zielonymi ślepiami, jak zły kocur. Wódka na niego nie działała. Przysunął się z krzesłem do Leszka i coś mu szeptał do ucha, patrząc równocześnie na Macieja. Maciej odwzajemniał mu się jednakowo obojętnym spojrzeniem, ale zarazem potężnie wysłał słuch, żeby pochwycić coś nie coś z ich tajemnic. Zrozumiał tylko, że mówią o bogatym młynarzu z Jelenia, którego ludzie nazywali Ukraincem. Leszek kiwał głową, ale zrobił się czerwony na twarzy i jakiś nieswój. „Zdolnyś do wszystkiego, ale najwięcej do złodziejstwa” — pomyślał Maciej o Staszaku. Przypominał sobie, ile to razy spotkali się na pańskim. Nikt z chłopów nie wyniósł tyle snopków, nie nakopał tyle dworskich kartofli co Staszak. Polowi unikali go, choć nie był wcale skory do bitwy i lubił nawet grzecznie ustępować z drogi. Aż dziw było, dlaczego chłopci tak się bali człowieka, który nigdy nie pokazywał swej siły. Niewiadomo skąd, od pierw-

sobie często przerywać robotę i rozglądać się, żeby ją w gęstej mgle, która legła na ziemi, nie zaszedł połowy. Ukopała już z pół koszyka, kiedy od strony bystrzyckiego lasu usłyszała gwałtowny turkot wozu. Ktoś jechał galopem i stwardniała ziemia niosła z daleka dudnienie kół i kopyt konia. Zarzuciła sobie na rękę koszyczkę i przebiegła przez drogę. Zaraz z brzegu stała stodoła Staszaka, więc przycupnęła przy niej razem ze swoją zdobyczą. Ze mgły wynurzył się pojazd, pędzący na złamanie karku. Dwóch ludzi siedziało na wiazce. Kiedy dojeżdżali do stodoły jeden zeskoczył z wozu. Wagramska poznała Staszaka. Stał chwilę na drodze, patrząc za tym, który pędził do wsi. Teraz kłęcząc pobożnie przed łóżkiem zabitego, Wagramska wiedziała, że to on był owym galopującym wóźnicą. Staszak miał przewieszony przez ramię karabin. Wagramska przestraszyła się i złapawszy koszyk z kartoflami przebiegła na drugą stronę stodoły. Ale ciekawość podkusiła ją, więc ostrożnie wysunęła głowę z za węgla. Staszak stał od niej o kilka kroków, odwrócony plecami, coś robił przy snopku żyta. Chował karabin. Więc była właścicielką tajemnicy, miała w ręku tego hardego złodziejzaka i jego babę, która prześmie-



Rys. Stanisław Cieloch

wała się z cudzej biedy i samotności. Tak! Staszakowa nieraz dokuczała Wagramskiej, kpinkując, że obie z nędzą mordowały chłopów, a przed nimi uciekły do Prus. Przestanieś się naigrywać z ludzką nędzą, nie będziesz się już przechwalała swoim Antosiem.

W sieni natknęła się na Macieja. Zezował ponuro swoimi małymi oczkami, był blady i podobny do nieboszczyka. Odciągnęła go na skraj podwórza i tam, dławiąc się podnieceniem, opowiedziała wszystko. Maciej wysłuchał milcząc, przytaknął, kiedy ją się zaklinała, że Staszak zabił Piotra, ale nie myślał wtajemniczać jej w swoje zamiary i kiedy skończyła nie powiedział nawet dobrego słowa. Musiała więc odejść, pozbawiona tajemnicy, nie doczekawszy się spodziewanej satysfakcji.

Izba zamieniona na żałobną kaplicę wypełniała się wciąż nowymi ludźmi, a i ci, co przyszli wcześniej, nie zamierzali odchodzić, baby przyłączały się do lamentującego chóru, mężczyźni zbierali się w sionce, lub pod oknami. Wewnątrz był półmrok, bo pozamykano okiennice i tylko żółty blask gromnicy oraz szara smuga światła, padająca z otwartych do sieni drzwi, rozjaśniały ciemność. Nisko przy ziemi czarny chór kobiet ciągnął „wieczne odpoczywanie”. Przy łóżku wysokim i równym płomieniem paliła się ślicznie malowana gromnica, a przygotowane obok woda święcona w srebrnej misce i kropidło czekały na proboszcza, po którego już pojechał brat nieboszczyka. Matka, spuchnięta od płaczu, jęczała i tukała głową o kant łóżka, zmienionego na katafalk. Kulawa Staśka, jedyna siostra Piotra, która go podobno bardzo kochała, popłakiwała cicho, przykucając w nogach. Piotr leżał na pościeli, tak nie pasujący do roli nieboszczyka, a jego koledzy, którzy przyszli tutaj, stawali w progu niepewni i speszeni. Był ubrany w czarny, porządny garnitur, w białą koszulę, nowe, żółte pantofle. Długie jasne włosy miał starannie zaczesane do góry. Nawet śmierć nie przestraszyła go i łobuzerskim uśmiechem, twarzą zadowoloną ze śmierci nienokoń i gniewał zawodzące babiny. Śpiewały

wciąż monotonna, ale z uporem, jakby chciały przekonać tego niedowiarka, że nie ma się z czego śmiać. Ludzie zeszli się z całej wioski, nikt nie odchodził, wszyscy czekali na dokończenie dramatu, na rozwiązanie zagadki. Przyjechał ksiądz i ludzie przyklekli na drodze, na podwórku, jak kto stał, przed Najświętszym Sakramentem. Proboszcz nie był pewny swego. Zabity — awanturnik i „polityk” nie cieszył się u niego dobrą opinią, ale sprawa była tajemnicza i ksiądz wietrzył w niej afery polityczną. (Kto wie czy ten chłopak nie zginął bohatersko od wrogiej kuli?). Ułożył więc twarz w czcigodne kapłańskie fałdy, namaszczył nieboszczyka, wyśpiewał całą rodzinę, pokropił zebranych i odjechał w turkocie wózka, w tumanie kurzu, w hałasie dzwoneczka. Po jego odjeździe baby opadły na siłach, milkiły jedna za drugą, aż wreszcie tylko kilka co pobożniejszych na przedzie modliło się głośno o zbawienie Piotrowej duszy. Staśka, zmęczona płaczem przysiadła na stoleczku i załamawszy ręce wpatrywała się w twarz brata. Tylko matka kłęczała ciągle, ukryła twarz w dłoniach, ale i w niej płacz przycichał.

W izbie zrobiło się przestronniej a przez to widniej, bo ludzie wynieśli się przed dom; tam łączyli się w grupki, rozprawiając o wypadku. Wagramska z początku utrzymywała tajemnicę. Ale tak ją korciło i nie dawało spokoju, że opowiedziała wszystko najpierw sołtysce, a potem najdumniejszej gospodyni ze wsi Toporowiczowej. Rozniosło się to po ludziach, jak zaraza. W pół godziny wszyscy wiedzieli, że Staszak wpłątany jest w zabójstwo Kuryłów. Wagramska — komornica i działołka rozprawiała teraz z pierwszymi gospodyniami jak z równymi. Jeszcze przed siódmą sołtys pojechał na policję do Ł., więc chłopci pochwalili dobre aparaty i bimbier, ukryli niekolczykowane prosiaki, a jeśli kto miał więcej maki, masła, albo słoniny, to wynosił zapasy z chałupy i ukradkiem przed ciekawością sąsiadów, umieszczał w jakiejś najbardziej zakonspirowanej komórcie. I tak wiedziano, że gruby Szelażek weźmie to, co ma wziąć, ale każdy oglądał się na drugiego, dlaczego sam miał płacić. Była jednak we wsi grupa, która myślała wtedy o czym innym. Rudy, jak marchewka — Szostak, ospały za dnia Jakubiacek, największy zabijaka Kardasz — bratanek sołtysa, oraz przebiegły Janczarek — bezrolny, zebrał się po drugiej stronie drogi naprzeciwko Kuryłów i radzili o poważniejszych sprawach. O godzinie ósmej przyszedł Staszak. Szedł ścieżką obok drogi, wysoki, z zadartą hardo głową. Dzieci czmychały na boki i uważnie oglądały go z za węgłów. W gromadzie ludzkiej przed chałupą Kuryłów najpierw zawrzało, a potem ucichło. Wszyscy ustępowali mu z drogi, więc szedł jakby wysadzona alejka, mówiąc „dzieńdobry” niektórym gospodarzom. Odpowiadał mu mrukiwie, ale odpowiadał. Przed wejściem do sionki chwilę się zawahał, spojrzął po ludziach, miał takie same oczy, jak codzień, zdjął z głowy czapkę i wszedł do chałupy. Babiny zawodziły. Kiedy stanął w progu, obejrzały się na niego i od razu jakby im odebrało mowę. Zrobiła się cisza, przerywana tylko jękami Kuryłowej i pociąganiem nosa Staśki. Stał wolno, skrzypiąc podłogą. Na krok przed Piotrem ukląkł na jedno kolano i pochylił głowę. Baby milczały. Izba znów zapełniała się ludźmi. Chłopi przystawali w sieni i zaglądali do środka. Staszak podniósł się i nachylił nad Staśką: „Gdzie ojciec?” — zaszeptał. Nawet nie podniosła głowy. Odwrócił się od niej bez słowa i nie patrząc na nikogo wyszedł z kaplicy. Ale Maciej stał sam o parę kroków od chałupy, oparty o sztachetę. Staszakowi wydał się zakłopotany. Podszedł do niego. Przeszli w głąb podwórka, aż pod stodołę, gdzie nie było nikogo.

„Antoś, co się to stało, Antoś?” — stary nalegał, ciągnąc Staszaka za rękaw.

Antek popatrzył: — „Takie nieszczęście”.

Kuryła raptem stwardniała. Puścił Staszakową kurtkę. — „Ty, kto mi zabił syna? Niech wiem, na kim ja mam poszukać zemsty”.

— „Banda go zabiła. W lesie bystrzyckim koło krzyża, co się skręca na przystanek”.

Lgał. Kuryła wiedział, że łże. Ale nie potrzebował się niecierpliwić. Powoli mógł się mścić, bez pośpiechu. Spojrzął w stronę dworu, który świecił między wysokimi lipami, a potem na Staszaka.

— „A ty wiesz, co ludzie mówią?”

Staszak wytrzeszczył oczy. — „No?”

„Żeś to ty jego zgładził. A co on tobie zawinił, Antoś?”

Wydało mu się, że Staszak przybladł.

— „Nie mówcie, Macieju. Przecież mnie zmarnujecie, jak będziecie tak mówić”.

Adam Polańczyk

Złota międzynarodówka działa

Amerykański minister spraw zagranicznych Byrnes wygłosił w Stuttgarcie przemówienie, w którym wziął w obronę Niemców, a zakwestionował nasze prawa do ziem nad Odrą i Nissą. Przedmiotem ataków ministra Byrnesa stały się oprócz Polski także Z. S. R. R. i Francja. „Biedne” Niemcy doczekały się obrońcy, który w ich interesie stara się poróżnić między sobą aliantów, doprowadzić do taré i rozdziewików między nimi w momencie, gdy otwierają się możliwości odbudowy świata na zasadach lepszych i sprawiedliwszych niż te, które obowiązywały dotychczas, świata wolnego od grozy faszystowskiego niebezpieczeństwa.

Znaczenia mowy Byrnesa nie należy przeceniać: Byrnes to jeszcze nie całe Stany Zjednoczone. Już mamy relacje o niechętnym przyjęciu tego niefortunnego występu przez opinię amerykańską. Dlatego też ciche zadowolenie naszych „nieprzejednanych” ludzących się nadzieją, że mowa stuttgartzka to pierwsza jaskółka trzeciej wojny światowej, jest chyba mało uzasadnione. Byłoby jednak ślepotą i lekomyślnością twierdzić, że mowa Byrnesa — to po prostu indywidualny, prywatny wybuch polityka, któremu zachciało się nagle — wbrew interesom i Stanów Zjednoczonych i wszystkich innych demokratycznych państw świata — prowadzić „własną” politykę.

Gdyby tak istotnie było, to dymisja Byrnesa mogłaby rozwiązać wszystkie obawy i dać pełne zadośćuczynienie narodom zaatakowanym przez niego w imię niemieckich interesów. Pamiętamy z Pisma świętego historię o oślicy Baalama, która przemówiła ludzkim głosem. Cud ten zainscenizował Jehowa, ażeby skłonić Baalama do życzliwości wobec Izraelitów i odciągnąć go od popierania ich wrogów. Przez usta Byrnesa nie przemawiał napewno Jehowa. Bardziej nawet prawdopodobnym zdaje się być przypuszczenie, że amerykańskim mężem stanu posłużył się jako narzędziem pewien stary wróg osobisty Jehowy, słynący wśród naszego ludu pod imieniem „Lucypera”.

Ale żart na stronę. Byrnes nie jest żadnym niepoczytalnym Filipem z Konopi. Byrnes wiedział dobrze, co mówi i w czym interesie. Byrnes przemówił w Stuttgarcie jako nieoficjalny rzecznik nowojorskiej ulicy banków — Wall-Street, jako reprezentant „złotej międzynarodówki”.

Trudno orzec, czy natychmiastowy wybuch wojny byłby na rękę międzynarodowej finansjerze, ale pewne jest, że ujawniły się i czynny udział w życiu międzynarodowym zaczynają brać idee i siły społeczne, których zniszczenie leży w interesie tej finansjerzy — więcej: jest dla niej kwestią życia lub śmierci. Idee te: to przede wszystkim demokracja, siły te: to przede wszystkim masy ludowe Rosji sowieckiej i tych krajów Europy, które odważnie wkroczyły na drogę zasadniczych reform ustrojowych, zrywając bezwzględnie z przeszłością.

Nie wiem, czy Byrnes jest jako człowiek wrogiem Polaków. Możliwe nawet, że nie. Tym niemniej Byrnes głosi poglądy groźne dla nas z dwu względów:

1) domaga się zmniejszenia obszaru Polski, a przez to samo osłabienia jej potencjału gospodarczego,

2) chciałby widzieć u nas taką zmianę frontu politycznego, która gwarantowałaby możliwość uczynienia Polski narzędziem polityki Wall-Street, co w naszych warunkach równa się obaleniu rządu ludowego, przekreśleniu wprowadzonych ostatnio w życie reform, powrotowi — w takiej czy innej formie rządów — łagodnie się wyrażając — „prawicy”.

A więc czym miałyby stać się Polska w koncepcji „złotej międzynarodówki”? Jakimś „pograniczem wojskowym”, bazą dy-

wersji antysowieckiej oraz bazą reakcji społecznej i militarysty w środkowo-wschodniej Europie. Bardzo nam przykro, ale — jak to w naszych stronach mawiają — „ten numer nie przejdzie”. Wiemy,

że nie wszystko u nas wygląda tak, jak wyglądać powinno, że wiele przykrości i ciemnych stron naszego życia ma źródło nie tylko w owych sakramentalnych „trudnościach powojennych”, ale przede wszystkim

HEIL BYRNES!



Rys. Stanisław Cieloch

Mowa stuttgartzka Byrnesa wywołała wielki entuzjazm wśród Niemców.

Leszek Goliński

Łużyc com wolność

Historia Łużyc jest historią walki. Walki na śmierć i życie z nieublaganym wrogiem, który z istic pruską systematycznością przez dziesięć niemal wieków dążył dzień po dniu do wytopienia i zgermanizowania tego dzielnego, małego narodu. Jeżeli po dziesięciu wiekach naród łużycki żyje, jeżeli po rządach Geronów, Bismarków i Hitlerów nie stracił poczucia swojej dumy i niezawisłości, zawdzięcza to w głównej mierze ziemi. Ziemia prochów słowiańskich, ziemia łużycka kazała Łużyczanom wytrwać, przywiązanie do niej było mocniejsze niż śmierć, niż niedola, niż krematoria i obozy koncentracyjne. Tylko na takiej glebie, ukryty w lasach i bagnach naród łużycki jak mocny dąb ostał się i przetrwał. A obok żywicieli ziemi kazały mu przetrwać słowa jego niekoronowanych królów i wodzów duchowych — poetów. Pisarze i poeci łużycy wyrosli z ludu, bo naród łużycki był zawsze narodem chłopów. Obszar, kupiec, urzędnik, to właśnie awangarda germanizatorów, którzy bronią i pieniądzem, uciskiem moralnym i materialnym walczyli i walczą, tak, ciągle jeszcze walczą o duszę narodu łużyckiego. Naród łużycki, ostatni bastion słowiańszczyzny patrzy na nas, chce od nas pomocy. W godzinie zwycięstwa prawa nad bezprawiem, wolności nad uciskiem, ówder miliona Łużyczan jest nadal pod jarzmem zdruzgotanego narodu „panów”. Jeżeli świat cały zainteresowany jest dziś w udzieleniu autonomii Nadrenii, choć zamieszkała jest ona przez Niemców, czemu ten sam świat milczy o Łużycach, choć zamieszkuje je najbardziej chyba bohatersey Słowianie? Łużyc com wolność!

Historia Łużyc jest historią walki. Dlatego poezja łużycka uderza albo w ton beznadziejności, widząc tej walki nierówność i przesądzone z góry wynik, albo zagrzewa do boju, albo apeluje do sumienia świata. Jakub Bart-Ciszński walczy z obojętnością Słowian, walczy o czystość języka, o duszę swego narodu. Patrząc na naród polski i oczekując odeń pomocy woła: Trzymałem się i będę się trzymał kryształowych gwiazd Polski, Krasińskiego, Słowackiego, Mickiewicza, Wyspiańskiego, Kasprowicza. On wznosi „Serbski dom”, centralę ruchu łużyckiego w Budziszynie. Umiera z piórem w ręku w r. 1909. Czy Polska pozostała obojętna na jego wołania? Nie wiele zrobiliśmy przed wojną. Obecnie powstały referat łużycki przy Komitecie Słowiańskim w Polsce i Akademicki Związek Przyjaciół Łużyc „Proluż” — oba z siedzibą w Poznaniu — w miarę swoich sił i środków walczą o niezaprzeczalne

wiemy dobrze, że załamanie się naszego obecnego ustroju byłoby wstępem do nieuniknionego triumfu reakcji, a przejście na politykę antysowiecką równałoby się narodowemu samobójstwu. Z tych faktów zdaje sobie dobrze sprawę każdy rozsądny Polak, niezależnie od barwy wyznawanych poglądów politycznych.

Minister Byrnes nie reprezentował bynajmniej w Stuttgarcie demokracji amerykańskiej, nie reprezentował narodu Waszyngtona i Wilsona, a tylko bankierów z Wall-Street. I nie o Polskę wyłącznie chodziło w tym wypadku min. Byrnesowi: jego mowa była właściwie szantażem w stosunku do Sowietów i wszystkich ich sprzymierzeńców, była balonem próbnym „złotej międzynarodówki”, puszczonej dla wybadania sytuacji w Europie.

Mowa Byrnesa uczyniła wiele spraw jasnymi i zrozumiałymi. Wiemy, że „złota międzynarodówka” nie rezygnuje ze swoich ambicji ukrytego władania światem, że dla osiągnięcia swego celu gotowa jest ona posunąć się do poczynania mogących zagrozić światu nową zawieruchą wojenną, że los narodów i sprawiedliwość społeczna i polityczna to dla niej taki sam towar jak ropa naftowa czy ruda żelazna.

Ale „złota międzynarodówka” trafiła źle. Nie wiemy, co o tych sprawach sądzą na Wall-Street, ale my nie będziemy nigdy handlowali honorem narodu i krwią polskich żołnierzy przelaną na wale pomorskim i nad Odrą. Ziemia polskie nie mogą stać się przedmiotem dyplomatycznych matactw i szacherek. O jakichkolwiek ustępstwach pod tym względem mowy nawet być nie może.

Min. Byrnes oddał nam niemałą przysługę: przyczynił się do scementowania jedności naszego narodu.

Mowa stuttgartzka wyjaśnia nam wiele, ułatwiła nam zrozumienie sytuacji międzynarodowej i wyrobienie sobie właściwego poglądu na siły kształtujące ją. Dziś każdy uczciwy i rozumny Polak udzieli bezwarunkowo poparcia swemu rządowi w sprawie nienaruszalności naszych granic zachodnich, bo nie może być różnicy zdań tam, gdzie rozstrzygają się losy narodu.

O RATUJ, PANIE BOŻE, SERBY MOJE!

Nad wszystko kocham was, o Serby moje!
Was, moją radość, w sercu moim noszę.
Za was pokornie modlę się i proszę:
O, ratuj, Panie Boże, Serby moje!

Nad wszystko kocham was, o Serby moje!
Dla was choć zginąć — jedyną rozkoszą,
I za was wołam i o was się proszę:
O, ratuj, Panie Boże, Serby moje!

Kiedy zaśpiewa rodaków gromada
Kłękam i ręce do modlitwy składam:
O, ratuj, Panie Boże, Serby moje!

I w dzień i w nocy krzyk z mej piersi twie się,
Może usłyszą go na tamtym świecie:
O, ratuj, Panie Boże, Serby moje!

SERBSKI BAŚNIK

Cieżko tworzyć was jednak, moje serbskie pieśni,
Z popiołów, z mogił zbierać dawne Serbów czasy.
I układać je w strofy i w przepychu kraszy
Kłaść je Serbom przed oczy, oświecać i wieścić...

Cieżko jest rzecz przeklętą znowu ucieleśnić,
Plewic chwasty, przez gęstą przedzierać się lasy,
I jądro z bezimiennej wydobywać masy,
I słowa, niby drużki, całować i pieścić...

Cieżka praca — a znikąd od Serbów podziękii:
I księgom i piosenkom smutny chyba koniec,
Bo nikt już nie wyciąga przyjacielskiej dłoni...

Pióro oto z zdrętwiałej wypada mi ręki, — — —
O Serby! Nie pozwólcie swoich dusz bezczęści!
Wróćcie się do ojczyzny naszej serbskiej pieśni!

SŁOWIANOM

Bracia! Patrzcie! Słuchajcie! Oto na północy
Mała łódź z morzem walczy i z mocą olbrzyma
Ciągłe płynie i ciągle na falach się trzyma
Choć fale chcą ją zniszczyć, przydusić, przytłoczyć.

I coraz ją znajdują i wciąż tracą oczy
I żagle wichler białe na masztach wydyma,
Żeglarze! Byłe wytrwać! Bracia! By wytrzymać!
Czy południe pomoże? Skąd czekać pomocy?

Ach! Nikt nie śpieszy łodzi małej na ratunek!
A ojciec, matka, dzieci — wszyscy na głębinie,
A łódź zdruzgotaną fale, rozbijają pioruny!

Na pomoc, komu w piersi serce jeszcze tętni!
Niech ratują nas bracia, ruszą obojętni!
Zanim człowiek ostatni w naszej łodzi zginie!

OSTATNI 36 (64) Nr „WSI”

z dnia 15 września 1946 r.:

Maciej Czuba — Najdawniejsze piśmiennictwo ludowe; Józef Pogan — Mój życiorys; Józef Czechowicz — „Miesione mordom ciepie nisko”; Stefan Lichański — Poezja Pawła Kubisza; Czesław Jastrzębiec-Kozłowski — „Mirejo” poemat Fryderyka Mistrala; Teodor Goździkiewicz — Rumienie historii; Stanisław Cieślak — Warunki uprzemysłowienia (II); Leonard Sobierajski — Odwiedzamy Bratoszewice. Wykaz nadesłanych książek, 3 ilustracje, ogłoszenia, 8 stron.

Leon Sobociński

Kaszubszczyzna

(reportaż)

Region kaszubski jest jednym z najciekawszych regionów naszego kraju i zarazem... najmniej badaj znanych.

Zwyczaj, szary Polak o Kaszubach wie tylko tyle, że to jest zamieszkały nad morzem silnie zmieniony szczepek polsko - lechicki, z którym trudno się porozumieć ze względu na jaskrawą odrębność tego „śmiesznego” dialektu.

Takie i tym podobne bzdury, szkodzące w najwyższym stopniu wzajemnemu zbliżeniu się Kaszubów z Macierzą, pokutują po obecny dzień. Wzajemne urazy i uprzedzenia należy, więcej — trzeba łagodzić, zalecać. Dawna Polska posadzała Kaszubów o dążności separatystyczne; dawniejsi Kaszubi rządy drugiej Rzeczypospolitej na tym skrawku nadmorskim traktowali jako sanacyjną, wewnętrzną okupację.

Jestem w Wejherowie, w stolicy Kaszub! Stolicy? Już widzę gdynian, kościelników, gdańszczan oburzających się na moją ignorancję. Czy tak? Z tą stolicą Kaszub to cała historia. Do miast stolicy Kaszub pretenduje tyle prawie miast, ile ich na mapie wyliczyć potrafi czytelnik.

Spór zresztą to jałowy, teoretyczny i można się nim nie przejmować a traktować najwyżej jako wyraz lokalnego patriotyzmu.

Jedno, co można stwierdzić, że dziś Wejherowo urasta do rozmiarów centrali kaszubskiego ruchu umysłowo - kulturalnego. Nie jest nią Gdynia, choć skupiła na Wybrzeżu największą ilość literatów, choć ma swoje środy, czy czwartki literackie. Jest to standardowa literatura, nie jest to kaszubska literackość.

Nie jest stolicą umysłowa Kaszubszczyzny Gdańsk, choć oczywiście jest stolicą administracyjną. Niewątpliwie w niedalekiej przyszłości będzie inaczej, ale chwilowo tak jest.

Narazie zaszczyt ten należy się Wejherowu. Posiada do tego pełny tytuł. Tu bowiem wychodzi „Zrzesz Kaszebsko”, czasopismo informacyjno - polityczne, ukazujące się trzy razy w tygodniu, wraz z dodatkiem literacko-naukowym „Checz” (Chata), redagowane częściowo w języku literackim polskim, częściowo (dział literacki i kronika miejscowa) w dialekcie kaszubskim. Wejherowo jest siedzibą koła literatów i pisarzy kaszubskich pod nazwą „Wjitrznio”. Istnieje amatorski teatr kaszubski im. J. Derdowskiego (pisarza i poety kaszubskiego). Powstać ma Dom Kultury Kaszubskiej.

To są pozycje ważne.

Mimowoli nasuwa się dygresja. Czytało się tyle na temat potrzeby czy zubożenia popierania gwar i pisania w gwarze, a tymczasem — ta gwarą kwitnie sobie w najlepsze, posiada pisma, literaturę, dom kultury, ba nawet teatr. I co na to poradzić? Czy zabronić w drodze dekretu?

Jest to inny, szerszy temat.

Zdzisław Skwarczyński

Łużyce wołają

Pod tym tytułem ukazała się starannie wydana, zaopatrzona w mapki i ilustracje broszura w popularny sposób informująca o Łużycach i apelująca o życzliwość Polaków do owego najmniejszego narodu słowiańskiego, najdalej na zachód wysuniętego w chwili dlań przełomowej, kiedy zyskał on szansę największe w dziejach na odzyskanie wolności.

Możliwości te stanowią konsekwencje wynikające z klęski Niemiec. Przede wszystkim jest nią oparcie naszej zachodniej granicy o Nysę Łużycką, a więc dla Łużyczan odzyskanie po wiekach łączności geofizycznej ze Słowiańszczyzną.

W kolejnych rozdziałach daje nam autor historię Łużyc (Słowianie byli i są pod Berlinem, Wyspa Łużycka, Źródła przetrwania, Przedwczesne nadzieje na tle losów słowiańszczyzny zachodniej). Dla nas są te dzieje uporczywie — jakby wbrew nadziei — walci wiekowej o prawo samodzielnego bytu szczególnie zrozumiałe i bliskie. Łużycki hymn narodowy „Hiszce Serbstwo niezhubiené” na nutę Polskiego Hymnu Narodowego ma swoją wymowę dla całokształtu tych zmagani, gdy nasz swą treścią był aktualny w okresie niewoli, będący tylko fragmentem bytu narodowego.

Dwa rozdziały ostatnie (Łużyce dzisiejsze i Dlaczego Serbo - Łużyczanie muszą być wolni) stawiają problem Łużyc w obliczu współczesności.

Dla tego prawie półmilionowego narodu o terytorium czterokrotnie większym od terytorium Luksemburga, narodu napowrót wspartego o granice Polski i Czechosłowacji musi się znaleźć miejsce w odrodzonej i wyrównującej wiekowe krzywdy Europie.

Dla Polski wolne Łużyce — to skrócenie granicy z Niemcami prawie o połowę, a przede wszystkim granicy Słowiańszczyzny na odległość 40 km. od Berlina, co może spowodować z kolei przesunięcie ośrodka państwowego Niemiec bardziej na zachód, a osła-

Wejherowo, uroczyste letniskowe miasteczko pod Gdynią, powinno stać się ośrodkiem szerszego zainteresowania. Przedziwne to, nie tylko na nasze polskie stosunki gospodarcze, miasteczko, Okropności wojny ominęły je. Żyje sobie życiem przedwojennym. Jest schludne, czyste, prawie całe. Kilka tylko ruin szpeci rynek. Cóż to znaczy te 3 proc. zniszczeń wojennych, według notowań statystyki. Tyle, co nic. Wobec z takim zniszczeniem Miejska Rada Narodowa sobie poradzi tak samo, jak poradziła sobie z budżetem.

Tak, Wejherowo jest godne zazdrości. Jest ono, powiedziałbym, najszcześniejszym ze wszystkich miast w Polsce, a bodaj, czy nie w Europie środkowej i wschodniej. Mieć dziś uporządkowane finanse, bez poważniejszych długów, to rai na ziemi.

Jeszcze to nie wszystko z zakresu tutejszych osobliwości. Trudno uwierzyć, a przecież Wejherowo nie zna wcale kwestii mieszkaniowej. U siebie oczywiście, bo znają tylko z gazet udreki mieszkaniowe, jakie prawie wszystkie miasta w Polsce przeżywają.

Sliczne i szczęśliwe to miasto liczy 14.000 mieszkańców, w tym 13.120 Polaków, a 880 ludności niemieckiej. Dziś oni żalują „swego kroku” i wszczynają procesy rehabilitacyjne. 2.000 zagorzałych Niemców opuściło dawno Wejherowo, a na ich miejsce gmina przyjęła około 300 rodzin repatriantów i przesiedleńców.

Ten idylliczny obrazek jednak niech nie będzie pokusą dla tych, którzy by tu chcieli osiedlić się i znaleźć pracę. Nie wielkie to miasteczko, co miało wchłonąć, to już wchłonięło, nie jest ono zresztą przemysłowe, zatem robotnikowi, zwłaszcza niewykwalifikowanemu trudno byłoby tu o pracę. Owszem, specjaliści, zwłaszcza z branży budowlanej, chętnie byłiby widziani, jak zresztą wszędzie indziej. Ta branża ma po wojnie żniwa.

Ażeby dać jako tako pełniejszy obraz Wejherowa, sięgniemy do jego historycznego rodowodu. Położone w dolinie rzeki Redy, otoczone wokół lasami, obok licznych cennych pamiątek z przeszłości, posiada słynną Kalwarię, składająca się z 26 kaplic, rozrzuconych malowniczo wśród gór i lasów na całej południowej stronie miasta.

Większość z nich budował sam założyciel miasta, wojewoda malborski. Jakub Wejher w w. XVII, a resztę jego spadkobiercy, przyjaciele.

Kalwaria ta od przeszło trzech stuleci jest celem pielgrzymek Kaszubów i Pomorzan. Miejsce to zowią Kaszubska Częstochowa.

Kaszubszczyzna jest ogromnym smutkiem naszych dziejowych tradycji. Kaszubi są jedyną pozostałą przy życiu starą pomorską odnogą polskiej grupy językowej i kulturalnej. W walce z niemieczyzną, bez dostatecznej pomocy ze strony Polski, bez warstwy inteligencji, zdani jedynie na własny upór — przetrwali niezłomnie jako słowiańska awangarda ludowa nad polskim morzem.

bić rolę stolicy pruskiego militarysty i za-
boreczności.

Gospodarcza samodzielność tego kraju jest zupełnie możliwa. Są tu kopalnie węgla brunatnego, dostarczające około 30 milionów ton rocznie, a więc tyle, ile wynosiła produkcja Polski w okresie przedwojennym. Jest wiele hut szklanych, fabryki porcelany, sukna, tekstyliów, są przedsiębiorstwa i tkalnie, stalownie, kamieniołomy, fabryki parowozów, papiernie, garbarnie, oraz największa na całe dawne Niemcy fabryka aluminium. Dolne Łużyce, pokryte wspaniałymi pastwiskami, sprzyjają znakomicie hodowli owiec.

W Rolanach znajduje się fabryka benzyny syntetycznej, w Wielkiej Dąbrowie światowej sławy fabryka porcelany dla przemysłu elektrycznego. Gęsta sieć komunikacyjna oraz liczne, wielkie lasy w Górnych Łużycach uzupełniają obszar bogactw tego niewielkiego kraju.

Łużyczanie zdają sobie sprawę, że na forum międzynarodowym ich słuszne żądania tylko wtedy będą brane pod uwagę, jeśli zyskają poparcie państw większych. Spodziewać się zaś tego mogą tylko od narodów słowiańskich. Spośród nich najbardziej niewątpliwie zainteresowane winny być: Polska i Czechosłowacja.

Rząd praski żywo zainteresował się tą sprawą i wypowiedział się w sensie gotowości poparcia żądań Łużyckich u sojuszników.

Czy odrodzona Polska poda rękę dobijającym się wolności Łużycom? Będzie to jedna z prób dojrzałości politycznej społeczeństwa, które może wywrzeć za pośrednictwem swych Związków zawodowych, stowarzyszeń i instytucji kulturalnych oraz prasy nacisk na czynniki państwowe: Krajową Radę Narodową, rząd i partie polityczne, aby sprawa Łużyc znalazła się na forum międzynarodowym i została pomyślnie dla nich rozstrzygnięta.

Czas jest najwyższy! Łużyce wołają!

Zygmunt Sierp

NIEPOKÓJ O CIEBIE

Uniosłem oczy ponad czuby sosen,
gdzie nieodmiennie dzień się zatrzymuje
wilgotnym cieniem rzęs leśnych,
co ptaszecą odległością w niepokoju rośnie
i ptaszęcym odfruwaniem spod słońca ucieka.

Chciałem cię ujrzeć w zwiniętym cieniu u zboczy,
chciałem cię ujrzeć w leśnych skrytkach gałęzi —
przebiegając krzyżowe ścieżki cmentarne,
szukałem cię w tragicznych obwódkach klepsyd
i liczyłem helmy, o które wiatr wydzwaniał
żołnierską wieczność zaciśniętej dłoni.

Widziałem cię bledszą od śmierci i od krwi czerwienią,
którą ścisłali w garściach czujnych
nawet wtedy,
gdy za zwartymi powiekami
serce wiecznym snem się nudzi,
a w uszach po brzegi głodu, ognia i wojny.

Wiem, że bóle twoje są długie i nieokrzepłe
od palących się przestrzeni,
wiem i spotykam je pod rogach w ropiejących bąblach,
po drogach bliskich jak czas,
z którym się nie sprzymierzam
od wszystkich dni moich narodzenia

i w obnażonych porankach przebudzeń
widzę niedospane widmo twych oczu
i jak przez mgłę nadwątlony pułap twych żeber,
który kaszel szczurzą melodią toczy.
Liczę zatęchłe kazamaty wieczorów,
które krata ciemności dorastają nieba,
gdzie pękają skronie jak granat —

tak —
modłę się do twojej krwi
męko
rzeką wezbrana.

KSIĘGA WIOSNY

Wiosna krzyczy zielenią moczarów
i w białej wełnie kołysze
żółte noworodki kaczeńców,
a słońce nachylając promienną strugę
chucha w puchowe koszulki pąków.

Rozpoznajesz w czułości spływającej rosą
twarz matki niosącą uśmiech niebiosom
i wierzysz, poeto, w nieodmienny dogmat
odradzania sęków na wierzbach,
którym ojciec kazał stać przy drodze,
by budziły drzewną stróżą wiosnę na wprost okien

Więc chwyć niezwłocznie żagle dobrych wiatrów,
z którymi się przeginają topole wysokie
i kieruj się obłokiem, który dziś nie ryczy
i najciszej przepływa śniade krajobrazy,
unosząc ciepło sprzykrzone południowym trawami.

Niechaj teraz otuli wyzębiony przednówek
i rozpuści ptaki szukające ziaren
pod okapami stodół i na ścieżkach od komór,
zanim lipiec nie zarzy dojrzałością jak ogień,
nim lato nie wybuchnie snopami nad miarę.

Jacek Maria Orlik

W CHACIE

Podłoga z bitej gliny. Śmiecie zgarnia się codzień pod ławę,
By miały w czym czmychać księżycową nocą głodne myszy...
Z pod pułapu skośnie wiszącymi obrazami patrzą dziwnie i zawiłe
Prymitywnie malowani święci... Życie żmudem dyszy...

Na polach, gdzie po bagnach sennie kopice z lotawą drzemią,
Patrzą z chałupy małe okienka pomalowane kurzem i deszczem.
Żyje się codzień jednak nad zalaną moczarami ziemią —
Woda i cisza... i niebo... ponure życia kleszcze.

W izbie sino od ostrego dymu gryzącej oczy machorki.
...Podobne do omglonego poranku jesienią nad mszarem...
Ostry zapach kapusty... Mdló, pachną przypalone kartoszek...
Dnie codzienne te same..., lata jak życie szare!

Oczy wlepione w żelazne garnki odymione sadzą,
Pachnące dla nas jak bajka... zapachem pierogów i ryby.
Dna pustych garnków — same nic do ust nie dadzą,
Daleko jeszcze i długo, nim się zsieją po lasach nowe grzyby.

Twarze blade, anemiczne jak bielona glinką ściana.
Na nogach skrzyplą plectone z lipowego lyka łapcie.
Kłuje skórę, jak rzyso, ostra koszula parclana —
Chłodno, głodno i biednie... w nadblotnej poleskiej chacie.

Józef Andrzej Frasiak — „Urodzony w żdźble” *)

Zygmunt Kałużyński

Elementy pieśni ludowej u Frasiaka

Porównanie twórczości Frasiaka z samorodnym pieśniarstwem ludowym jest jednym z tych zestawień, które narzucają się od razu, które stanowią pierwsze zestawienie czytelnika, próbującego oddać swoje wrażenia. Jest to określenie, które najczęściej się słyszy o tym poecie, określenie nieraz z odrobiną nonszalancji wypowiedziane; jak zwykle, gdy rzuciwszy okiem na jakieś dzieło poetyckie, szybko odkrywamy standard, model, słowo szufladujące i określające, zadowolony, że oto mamy klucz do tej roboty... Dla czytelnika jednak, który poznał więcej utworów tego liryka, albo przeczytał jego tom cały, świeżo wyszły drukiem, narzucające się porównanie z pieśnią ludową będzie się wydawało coraz bardziej wątpliwym, i kto wie, czy przy bliższej analizie nie będzie ono ostatnim z zestawień, gdybyśmy ustalali katalog wpływów, składników, tonów, z których zbudowana jest ta poezja. Spróbujmy tu zgrubnie wyodrębnić elementy typowe dla „samorodnej” anonimowej, narosłej w ciągu wieków pieśni ludowej, i potem odszukać te charakterystyczne cechy u naszego poety; czy wystąpią one w całej okazałości, czy przetworzone, czy skarlłowaciale? Oto bowiem główne składniki typowej pieśni:

1) Tematycznie składa się ona z dwóch części, przeciwstawionych sobie lub połączonych przez jakieś zasadnicze podobieństwo. Pierwsza część, to pozornie obiektywne, obserwacyjne spostrzeżenie z przyrody: „Lecioly zórazie, krzycoły...”, „Ściani dumbek, ściani...” („Lecioly zórazie, krzycoły”, „Ściani dumbek, ściani...”.) Ten pierwszy zwrot ma zazwyczaj już element nastroju, z reguły melancholijnego, — zapowiedź jesieni w odlocie zórawi, żal po ściętym drzewku... Drugi zwrot, po owym pierwszym jeszcze opisowym, jeszcze jakby obojętnym, — jest już uczuciowo wyraźniejszy, już stanowi przejście do części drugiej, która będzie bardzo osobistą; oto drugie kolejne zdanie: „Kalina z jeworem rozstać się nie może...”, (o dąbku) „Juz się nie zielani...” Tak wygląda pierwsza część, która jest wstępem tylko, pretekstem, by wybuchnąć osobistą, bolesną sprawą, — zaczyna się od obrazu przyrody, ale potem następuje jęk pełnym wykrzyczanym głosem:

„Lecioly zórazie, krzycały: Mój Boze!
Kalina z jeworem rozstać się nie może,
Kalina z jeworem rozstać się nie chciała,
A JA Z JASIULECKIEM ROZSTAĆ SIE
MUSIAŁA!”

„Ściani dumbek, ściani,
Juz się nie zielani,
JUZ MEGO JASIULA
do żołnirzy wzieni!
Oj wzieni, go, wzieni
do tureckiej ziemi,
oj, juz go nie ujrze
ocekami swemi!”

Z reguły więc pieśń ludowa brzmi tonem osobistym, jest prywatną, uczuciową, żalną przeważnie wypowiedzią udręczonego serca; i tylko jej osobliwy wdzięk, płynnie stąd, że ów temat personalny jest przykryty, nie wykrzyczany od razu z bezpośrednią, niekrepującą się gwałtownością, a poprzedzony porównaniem zaczerpniętym z przyrody, spełniającym rolę wielokrotną: uzasadnienia, wywołania nastroju przez podobną sytuację w przyrodzie, co w sercu cierpiącego śpiewaka, załagodzenia bezpośredniej, nieprzyswoitej natchnienia, jaką byłoby narzucenie od razu, z miejsca, swej treści uczuciowej osobistej. Ważniejszą, zasadniczą częścią pieśni będzie część druga; pierwsza jest ledwie chwytym stylistycznym.

Otóż w całej twórczości Frasiaka nie ma wiersza, któryby odpowiadał tak pojętej zasadzie konstrukcyjnej. Jest to poeta, który bynajmniej nie szuka w opisie i odczuciu przyrody pretekstu do rozprawienia swego stanu ducha, czy do zakomunikowania osobistych uczuć. Jest to jeden z najpowszechniejszych, najdyskretniejszych, najbardziej milczących o sobie liryków. Jeśli pieśń ludowa składa się z dwóch części: opisu natury — pretekstowego, a potem opisu własnych odczuć, własnego stanu emocjonalnego, w jakim znajduje się właśnie poeta, — to poezja Frasiaka może się

wiązać tylko z ową częścią pierwszą. Typowy jest pierwszy wiersz tomu („Prolog”)

„Ta chropowata pogoda i ten wiatr,
który zwiastuje czerwone rankiem niebo —
ten dymem chałup kołysany czas,
to rozrosło szeroko marcowego ranka
drzewo...”

Nastawiamy się, że jest to przygotowanie do deklaracji uczuciowej, która zaraz nastąpi, — że po tym wyliczeniu wstępnym elementów zewnętrznej rzeczywistości, na dech odkrycie uczuć własnych mniej więcej w takiej formie: „Wszystkie te piękne przedmioty, natura, chaty, cały ten świat wiejski, — to moja ojczyzna, do której jestem gorąco przywiązany. Wtedy moglibyśmy śmiało stwierdzić, że Frasiak komponuje podobnie jak samorodny poeta ludowy. Ale spotyka nas zawód: bo żadna eksplozja uczuciowa nie następuje; wciąż trwa wyliczenie, które się wreszcie urywa z końcem wiersza bez żadnych detonacji emocjonalnych:

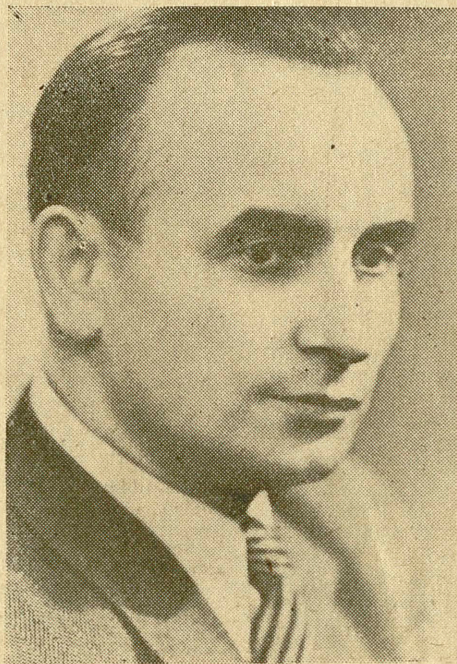
„Te świerki zielone w ogrodzie księży,
te wrony ciągnące pod wieczór,
ten syjący się drobno dzwonek z wieży,
ten zapach domu i śpiew maleńkich
rzeczy...”

Koniec. I tylko ostatnie trzy słowa, to jakby pointa, uogólnienie zamykające, sumujące wiersz. I tam nie ma bezpośrednio wypowiedzianego uczucia, jest tylko jakby w trzech słowach streszczenie wszystkiego, co w wierszu było wymienione. I tylko z charakteru wszystkich wyliczonych elementów, z nastroju, jaki te obrazy wytworzą, czytelnik sam odgaduje i dopowiada sobie, co odczuwa poeta, dopowiada to, na co oczekiwał, ku czemu wiersz zmierza, a co przecież nie następuje: „...i śpiew maleńkich rzeczy... do których jestem przywiązany”.

Konsekwencje takiego stanowiska są zasadnicze. Bo Frasiak bierze z pieśni ludowej to, co w niej jest tylko ornamentem, przygotowaniem, elementem stylu; drugą zaś jej część, uczuciową i konstrukcyjnie główną, albo eliminuje zupełnie, albo zastępuje paroma słowami konkluzji, pointą jednozdaniową, parowyrazowym streszczeniem, które i tak jakby z niechęcią podaje, z konieczności, by wiersz nie został niezamknięty! Rozbudowuje on to, co w owej pieśni jest rzeczową obserwacją, co jest świadomym, artystycznym przygotowaniem efektu, co jest intelektualnym, — pomija zaś to, co wylewa się poza regułę kontroli, określonego obrazu, ścisłego przedstawienia, co jest uczuciowym rozpasaniem, krzykiem, nieopanowanym wybuchem pasji! Pamiętajmy, że ilekroć pieśń ludowa przeżywała okres sławy, ilekroć stawiano ją za wzór twórczości, zawsze działało to się w czasach, gdy modny był zryw uczuciowy, gdy zasadą stało się dążenie do całkowitego wyrażenia osobistych, wewnętrznych stanów psychicznych; że muzycy, którzy pieśni ludowe preferowali, naśladowali, muzykę do niej dorabiali, to byli nie klasycy, intelektualni konstruktorowie, polifoniści, ale romantycy, uczuciowcy, rozbijający formę dla całkowitego, pełnego ekspresji wyśpiewania swych osobistych potężnych pasji. Stwierdzenie więc, że Frasiak wziął z pieśni ludowej jedną tylko nastrojową nutkę, i to tę najbardziej intelektualną, i ją jedynie niepomniernie rozwinął, charakteryzuje go dobitnie jako poetę o świadomych, celowych, opanowanych choć skromnych środkach wyrazu, nie wspólnego nie mającym z antyracjonalnym skowytym „bebechowym”, w którą to manierę tak łatwo popadają najwybitniejsi nawet kontynuatorzy pieśni ludowej.

2) Inną typową cechą pieśni ludowej, to jej „budowa trzyczęściowa”, tj. powrót

części pierwszej na końcu, powtórzenie dosłowne lub przetworzone tekstu, który pieśń rozpoczął. Powtórzenie takie może parokrotnie wracać, stać się refrenowe, zaklinawcze, litanijne. Ma ono, z jednej strony, funkcję formalną, — podkreślenie muzyczności, śpiewności przez nawrót motywu; z drugiej strony ma znaczenie uczuciowe, podkreśla siłę emocji, cierpienia, ciągle powracającego, wciąż skarżącego się w tych samych słowach. Naprawdę szukamy czegoś podobnego u Frasiaka. Ten poeta nie zna refrenu, nie używa przyspiewki, usuwa ze swoich wierszy wszystko co wiąże się ze stereotypową „muzycznością”. To go zbliża do Czechowicza, który tępił z taką stanowczością wszelkie mechaniczne, przyspiewkowe, pomocnicze środki wywołania emocji, przesuwając ciężar poezji na element literacki, na znaczenie, walor, barwę poszczególnych słów. To nie znaczy przecież, by owa cecha charakterystyczna na pieśni ludowej — powracający, powtarzający się litanijski ton, — uszły uszom poety. Jednak pomniejsza on rolę owego szablonowego efektu muzycznego do jednej sylaby, jednego dźwięku, jakiegoś „Oj...”, rozpoczynającego strofę, jakby intonującego. Ten zaś śpiew, blade i słabe echo, występuje zawsze na początku, zawsze ma funkcję oznaczoną, jakby był ujęty w cudzość, przytoczony dla cha-



JÓZEF ANDRZEJ FRASIAK

rakterystyki, z pełną świadomością, nigdy nie wylewa się jękiem, płaczem z nieopamowanej potrzeby, jak bywa w pieśni ludowej.

3) Trzecia wreszcie typowa cecha pieśni ludowej, to jej fabularność, tak charakterystyczna, że uważana za niezbędny warunek przez niektórych teoretyków, warunek po którym poznaje się jej autentyczność. Pieśń ludowa zawsze coś opowiada, zawiera jakiś przebieg, narrację, choćby zdarzenia drobne. To stanowi o jej dramatyczności, o której tyle mówiono, dramatyczności płynącej z przedstawienia wypadków, wyrazistego, dobitnego, teatralnego niekiedy. Wiąże się to z efektem deklamacyjności, recytacyjności, patetyzmu. Tę stronę pieśni ludowej wyzyskał i rozbudował Lenartowicz, ten klasyczny jej kontynuator; tę właśnie żałośliwą „fabularność” naśladowała Konopnicka, tak niefortunnie skolei kopijowana przez różnorodnych epigonów, szczególnie przez samouków ludowych.

I znowu uderzy nas, przy zestawieniu z Frasiakiem, że ten typowy element pieśni zanikł u niego niemal zupełnie. Wiersze je-

go składają się z szeregu obrazów nieustawionych w żadnym porządku chronologicznym; rzadka tylko możemy wskazać wiersz opisujący, jakiś przebieg, a i to raczej notujący marginalne jego wrażenia, niż opisujący samo jego trwanie. I gdy fabularność u pieśniarza ludowego wywoływała efekt rozlewności, dramatyczności, o tyle tutaj u Frasiaka jej zmodyfikowanie, nieomal likwidacja całkowita, daje efekt powściągliwości, zahamowania, opanowania wewnętrznego.

Cóż więc zostało z podejrzenia, jakie rzuciliśmy na Frasiaka, — że jest mianowicie kontynuatorem pieśni ludowej? Okazało się, że jej elementy są u niego nader ubogo wykorzystane, okrojone, zmodyfikowane, zintelektualizowane. Czemu więc nieodparcie narzuca nam się to zestawienie, czemu porównanie z pieśnią ludową jest pierwszym nasuwającym się porównaniem? Odpowiedź jest prosta: elementy pieśni ludowej są u Frasiaka stłumione, niemal nieistnieją, w śladach, cieniach, echach; jest to jakby piana, zebrana z wierzchu strumienia. A więc, mimo wszystko zawdzięcza coś Frasiak pieśni ludowej, lecz unowocześnia, transponuje, obrabia jej elementy. Jeśli nawet z punktu widzenia nowoczesnej liryki można go nazwać **cofniętym** (termin taki padł w dyskusji o Frasiaku), to oceniany z pozycji pieśni ludowej i jej kontynuatorów stanowi on niewątpliwie postać, modernizację, unowocześnienie; Frasiak jako kontynuator pieśni ludowej zamyka raz na zawsze drogę żalonym naśladowcom Konopnickiej i Asnyka, ukazując nową koleinę, w którą wkracza świadoma chłopka twórczość poetycka. Frasiak zachowuje to, co w pieśni ludowej wciąż żyje, co dźwięczy dziś jeszcze aktualną poezją, odrzuca zaś wszystko co jest w niej przesadnym, uczuciowo rozwichrzonym, antyracjonalnym. Jest kilka pieśni ludowych, których literacka wartość ostała się, jakby były skomponowanymi przez nowoczesnych poetów. Nie są to zgoła pieśni charakterystyczne dla samego rodzaju pieśni, dziś ledwie oceniamy ich urok, wydobywamy je jako niemal prekursorskie; czyż nie mógł Frasiak napisać tej oto piosenki, którą przytaczamy jako ton ostatni, niech dźwięczy ów anonimowy, nieznan, z przed wieków poprzednik Frasiaka:

Wysła burzycka, wysła burzycka,
bandzie desc,
Gdzie sie ptosecku, gdzie sie ptosecku
podziejes?
Oj, polece ja, oj, polece ja
do boru,
pod gałązankę, pod gałązankę
jeworu,
tamój mnie descyk, tamój mnie descyk
nie kanie
na te psiorecka, na te psiorecka
ruciane!
Tamój mnie descyk, tamój mnie descyk
nie pryśnie,
na te psiorecka, na te psiorecka
złociste, złociste!
A—a—a—a—!

Leonard Sobierajski

Krajobraz wiejski w poezji Frasiaka

Poezja Frasiaka dopiero wówczas dobrze się tłumaczy, jeżeli ją rozpatrujemy właśnie w kontekście kultury ludowej. Wówczas nabiera specjalnego wyrazu, staje się wymownym dokumentem i dla socjologa i dla badacza kultury. Bo choć autor „Urodzonego w żdźble” sięga często do ogólnonarodowego warsztatu pracy literackiej po formę, po narzędzia poetyckiej wypowiedzi, to jednak cała jego twórczość w swojej najgłębszej istocie zdeterminowana jest tymi treściami, które zrodziły się w zamkniętym kręgu gromady wiejskiej. Czy to tę poezję dyskwalifikuje? Sądźmy, że właśnie to, co robi Frasiak, jest cenną pracą kulturalną, ponieważ wartościom surowym, włączonym jeszcze w system kulturalnie niższy, nadaje stempel wyższego odniesienia. Treści ludowe, przetwarzając je narzędziami ogólnie uznanymi, wprowadza w krąg literatury dla wszystkich. W ten sposób dzieli się swoim chłopskim światem doznań i odczuwań — to jest raz, a poza tym stwarza możliwość kontroli, a więc korekty.

Autor tym skąpych treściami, przejętym z systemu kultury ludowej, stara się nadać artystyczny kształt. Tendencją tu nie jest jednak jakieś „brązowanie”, czy chwalstwo, jeśli stawia on właśnie swe doznania, jeśli „wypina się”, jakby ktoś złośliwie mógł rzec, to tę postawę też należy traktować historycznie.

Jest to słuszną obroną przed tym tradycyjnie trwającym gestem lekceważenia, jakim kultura szlachecko-inteligencka gromadę wiejską darzyła. W systemie tej kultury wszystko to, co wieś mogła dokonać, było bez znaczenia, nie liczyło się. Klimat tej kultury panował jeszcze zdecydowanie w okresie międzywojennym, a właśnie wtedy kształtowała się postawa Frasiaka-poety i z tego to czasu datuje się ta chęć pokazania wsi jako wartości, chęć wybronięcia jej, potrzeba „zagrania” nią: jej barwnością, kolorytem. Autor własne umiłowanie podbija, potęguje, by zobowiązać tym wszystkich, by nakłonić naród do nielekceważenia tej grupy społecznej, której lekceważenie historycznie przypadało zawsze w udziale.

Jeśli z twórczości Frasiaka płynie sugestia, że opiewa on wieś przeciwstawiającą się miastu, odcinającą się od niego, to chyba tylko miastu jako tradycyjnemu ośrodkowi dyspozycji, który stawiając chłopu w ciężkiej sytuacji ekonomicznej, odpychał go od udziału w korzystaniu z dóbr kulturalnych, jak zresztą odpychał i proletariats miejski — robotniczy czy inteligencki.

Miasto w świadomości chłopskiej to przede wszystkim domena tych ludzi, którzy dawniej potrafili tylko wieś eksploataować, nie jej w zamian za to nie dając —

*) Józef Andrzej Frasiak: „Urodzony w żdźble”. Wydawnictwo Oddziału Wiejskiego ZZLP. Kraków, 1946.

stąd ta niechęć, ale nie jest to wrogość przeciw miastu w ogóle, przeciw miastu jako ośrodkowi kultury, postępu, cywilizacji.

Frasik nie wyczerpuje całkowicie treści kultury ludowej — narastającej, nie podchwytuje tego, co z wczorajszej wsi było już wyznacznikiem na dziś, ma oczy zwrócone na to, co w sumie swojej daje pojęcie pewnej zamkniętości, skończoności.

Jego dotychczasowa twórczość to przede wszystkim poezja dośpiwu skończonego już okresu w historii naszej wsi. Dlatego jest historycznym dokumentem poetyckim i w tych kategoriach należy ją ujmować.

POETA I KRAJOBRAZ

Wieś wieś, wieś, którą rzeczywiście w XIX wieku „wpływy zachodnio - europejskie stronami miały”, wieś odcięta, wszystką w lasy, żyjącą swoim własnym trudem, produkującą zaledwie na skąpe wyżywienie, — wieś zepchnięta.

Człowieka z miasta ta wieś interesowała przede wszystkim jako miejsce wywczasu, nie wciągał on się emocjonalnie w jej użojone życie, nie zdobywał się wysiłkiem intelektualnym na ograniczenie jej problematyki. Był uczulony na jej piękno, chciał się w nim kąpać, nim odpoczywać. Stąd stosunek sielankowy, estetyczny inteligenta miejskiego do wsi.

Chłop za plugiem w czerwonym spencerku to tylko piękna barwna plama, kosiarze w upalny lipiec to właśnie wesoły brzęk kos — bólu utrudzonego krzyża i zalanej potem twarzy na dystans się nie dostrzegało. Otóż ten krajobraz wiejski z całą gamą obłoków, zieleni, plam słonecznych, przykucniętych w gruszach i topolach chłup, tak już wygrany i poetycko wyeksploatowany stał się po prostu dobrem kulturalnym miasta, jego wartością konsumpcyjną, taką jak masło, jarzyny czy owoce. Wiemy, że chłop nie mógł sobie pozwolić na zjedzenie wyprodukowanego przez siebie jajka czy mleka, tak samo nie umiał się cieszyć pięknem, które go otaczało; nie starczyło mu na to energii, całkowicie zużywał się w pracy — ustrój go w tym typie życia utrzymywał. Nie dopuszczał go do udziału w dobrach miejskich, w wytworach cywilizacji, nie pozwolił mu na przeżywanie tych wartości, którymi chłop-rolnika darzyła natura. I chyba znów stąd odruch tych pisarzy chłopskich, których Frasiak typowo reprezentuje. Mówią oni: przeżył poetycko krajobraz wiejski na swój sposób, objął go w stan duchowy chłopskiego posiadania, uczynił go dla wsi wartością użytkową, dla wsi a tym samym i dla narodu. Ta postawa jest uczciwa i kulturalnie cenna. Wypiewać chłopską pracę tak jak ona dotychczas przebiegała, poetyckim wyrazem podbić ją na wyższy stopień. Pokazać poniżonemu chłopu, że był czymś w narodzie, że spełniał cenną rolę. Ta rola, którą chłop odgrywał, nie była spłacona uznaniem. Poeta chłopski chce to odrobić na swój sposób. Dokonuje on więc pewnej pracy, przechodzi nowy etap, jest to naturalnie tylko etap — pokwitować poetycko „minione”, temu ukrzywdzonemu „minionemu” nadać pewien walor; uczcić chłopą — producenta chleba. To daje wiersz Frasiaka „Pieśń żniwna”. Niech nas nie myli ta forma poetycka, niech nas nie myli chwyt stylistyczny.

„Oto żniwny poranek: czas nam z kosiarzem twardym się rozgwarzyć,
powietrze niech mówi dumą, treść nasza
ma słowa pachnące chleba kromką.
Oto my, łany dojrzałe, jesteśmy dziś
dumne, jak uczieszony dobrym życiem
starzec.
który składa trud długi, bo mu jutro już
może nie zaświeci słońko.
Krajcie nas bosi kosiarze! Oto twoja
dzieja, oraczu, oto twój pot żrały?
Rwijcie nas gładkie sierpy. Dziewcząt
wsiowe głaspiewy mówcie o nas szeroko,
By nam płodem pełną, szumiącą pierś,
matki mlekiem wezbrała —
Karmcie się, syćcie nami głodni ludzie,
łaknący na codzień, co roku.

Oto dziś, krzykiem naszym gasimy bruki,
świeżym chlebem mówimy — idziemy.

Ta sama дума z ciężkiej, znojnej pracy bije z wiersza „Żarna”.

„Czarna ziemia, czarna rola, czarny chleb,
twarde dłonie, mocne dłonie: nie puszczę!
nie dam!

A tu echem zapłociami śpiewa cep,
a tu z kalenic z wronami zrywa się bieda.

A tu śpiewliwe rankiem młynki — żarna,
a tu krzywdą na miedzy, wierzbą krzywa —
a tu dni jednakie, trudne, czarne:
słuchajcie,
słuchajcie —
piosenka kamienna. wrota skrzypią, z sieni
odpływa”.

KRAJOBRAZ CZY TEREN PRACY

Czy poezja Frasiaka to liryczny reportaż krajobrazu? Krajobraz wiejski z wszystkimi jego elementami, a więc polami, łąkami, niebem, obłokami czy ptactwem, toż to tylko czynniki towarzyszące, toż to przecież tło, widownia, aktora — chłop tu jednak nie brak. Przesuwają się tylko akcenty. Poeta-oracz, poeta-kosiarz sam wypowiada radość i pochwałę pracy; mówi o sobie — jest bohaterem i piewą, stąd wrażenie zacieraającej się obiektywności, stąd może brak dystansu epickiego. Liryzm Frasiakowski nie jest jednak egzaltacją, jest to liryczny entuzjazm z dokonanej pracy, wypowiada się grą tych elementów, które stanowią dobro wsi, grą elementami natury. Popatrzmy.

„Zagrabione w kopice siano
Jutro wozem zajedziesz.
Łąkę wonną przywieziesz
na wierzbince ograną.

Rosa pada. Skończona praca.
Ostatnie motyle. Krzyk szpaków:
jakby w złocie szyszaków
z grabiami na ramieniu powracasz”.

Poeta miejski sławi prace dokonywane w ramach strukturalnych miasta. Budzi w nim entuzjazm konstruowany most i człowiek tego dokonywujący, estetycznych przeżyć dostarcza mu architektura, muzyka wielkich ulic, fabryka w ruchu czy kopalnia. Żeby móc podkreślić dumny udział człowieka w opanowaniu natury, musi podkreślać siłę oporów, tkwiących w tej naturze.

Poeta wsi akcentuje również człowieka, gdy wzrusza się elementami natury, to jako czymś, co jest włączone w system ludzkiego trudu, zabiegów i walki.

Obłoki górą, obłoki dołem.
Nad wsią opadną w jezioro.
W sieniach skrzyp pracy, jak wczoraj:
ziemia,
jesieni dym —
koła dnia dalej skrzypią popychane
mózgolem.

Gdy wrócisz, naniesiesz w oczach pól.
Ziemi.
Sień zamkniesz. Już ciągnie za plugiem
mgła.

To Ty jak wiatr?
To ty przed dom?

To ty na progu w muzyce chustami jesieni
się mienisz?
Z pól pozdrowienia jesienne
listkom wchodzącego żyta
i polom, gdy podają ręce dali, bloniom!...”.

Tym uczłowiecznieniem brzmi prawie każdy wiersz Frasiaka, poświęcony przyrodzie, czy to będzie „Elegia drzewna” czy „Dom Matki”. Przeczytajmy:

„Komu zniosły buczące pszczoły ten
miodem płynący czas?
Komu pola podnosiły od góry śpiew
miedz?

W tym świecie niczym wiatr wiał.
W cieniu gruszy, w chłodnym rumianku
lec.

Patrz: dzwonce dzwoniąc opadły na chwilę,
motyl, bielinek...
albo:

„Za słońcem słoneczników
ogród
nuty —
kurdybanku nazbierała
idzie, kaszląc, utyka.
Przywiał od gruszy kwitnieniem
i zaraz gałązki pruszą łuskami paków na
ziemi...”.

Pierwsze zetknięcie z poezją Frasiaka daje tematycznie wrażenie sielankowości, jednak wczytawszy się w jego utwory otrzymujemy poprzez sielankowo - elegijny ton obraz wsi trudnej, użojonej, wsi ciężko waleczącej o byt. Krajobraz wiejski, jako bohater wiersza, to współtowarzysz trudnej, ludzkiej doli chłopą - rolnika. Kończąc dodajemy, że ten rodzaj poezji, który nam Frasiak dał, to właśnie dośpiwu dla wsi z dnia wczorajszego, wsi, która odchodzi w przeszłość. Tę wieś kwituje za jej trud i moźół swoim tomem wierszy Józef Andrzej Frasiak, poeta wyrosły z jej gleby. Poeta ludowy spłacając swój pierwszy dług ma za sobą i swój pierwszy etap poetyckiej chłopskiej drogi. Wieś dzisiejsza, wieś wchodząca w naród, w państwo będzie wymagała innych podejść i innej problematyki. Na tę nową drogę wchodzi dziś poeci ludowi.

Leonard Sobierajski

Stefan Lichański

Odrodzenie sielanki

Poezja sielankowa zdaje się zaspakając jakieś bardzo mocno zakorzenione i trwałe potrzeby psychiczne rodzaju ludzkiego, gdyż nie ma w historii literatury okresu, kiedy ten rodzaj poetycki zanikałby zupełnie. Tym niemniej poezja ta nabiera różnego zabarwienia w zależności od epoki i środowiska, wyraża — choćby pośrednio — bardzo różnorodne światopoglądy i postawy psychiczne.

Nasza sielanka humanistyczna, nawiązująca wprost do klasycznych tradycji Teokryta i Wergiliusza, zamiera w związku ze stale postępującym upadkiem kulturalnym naszego społeczeństwa w ciągu XVII i pierwszej połowy XVIII wieku. Nowy rozwój sielanki polskiej u schyłku XVIII wieku i na początku XIX zawdzięczamy wejściu w orbitę oddziaływania literatury francuskiej czasów Oświecenia. Nie bez wpływu na naszą literaturę z pogranicza tych dwu stuleci pozostaje również literatura preromantyczna krajów germańskich, ale nie ulega wątpliwości, że jeżeli chodzi o poezję sielankową tego okresu wywodzi się ona zasadniczo z francuskiej sielanki rokokowej (t. zw. eklogi galanteryjnej).

Ponieważ ten typ poezji sielankowej okazał się nader żywotny i o dużym zasięgu oddziaływania, warto wrócić myślą do środowiska i epoki, które go wyłoniły. Oto co pisze Hippolit Taine w swojej „Francji przed rewolucją”: „Moda uprawnia nową afekcję, tkliwość, rozmarzenie, rozczulenie, jakiego dotychczas nie znano. Chodzi o to, aby powrócić do natury, uwielbiać wieś, miłować prostotę, zwyczajając wieśniactwo, zajmować się kmiotkami, okazywać ludzkość, kosztować słodyczy i czułości uczuć naturalnych, być mężem i ojcem, a nawet mieć duszę, cnoty, religię, wierzyć w Opatrzność i nieśmiertelność, być zdolnym do uniesień. Pragną tego, a przynajmniej mają takie zachcianki. W każdym razie jeżeli tego chcą, to, ma się rozumieć, pod warunkiem, że nie wykołają się zbyt daleko ze zwykłego trybu i że wrażenia tego nowego życia nie ujmą nic z przyjemności dawniejszych. Kiełkująca więc egzaltacja nie będzie niczym więcej, jak tylko wybujałością mózgu, a cała sielanka odegra się w salonach. I oto literatura, teatr, malarstwo, wchodzą na tory sentymentalne, aby rozbujałej wyobraźni dostarczyć sztucznego pokarmu... W następstwie przesadna uczuciowość rozlewa się i na wszystkie szczegóły życia prywatnego”.

Inna była sytuacja polityczno - społeczna Polski, inny utrwalił się u nas typ umysłowości i inny styl życia, ale istniały i przychyny, które dały wyniki pod wieloma względami analogiczne do francuskich.

Ucieczka w konwencjonalną sielankę, w sentymentalizm miłosnej idylli, ucieczka jednym słowem w baśń wiązała się ze złym samopoczuciem stanowym warstwy szlacheckiej. We Francji straszyl już upiór przewrotu społecznego, w Polsce przede wszystkim groza utraty niepodległości państwowej. W warunkach chronicznej niepewności, w ciągłej obawie przed tym, co może przynieść jutro, w tajonym, wypieranym w podświadomość poczuciu własnej słabości i bezradności kryły się przesłanki „zamówienia społecznego” na literaturę kompensacyjną, dającą poczucie równowagi i bezpieczeństwa. A taką właśnie kompensację stwarzała sielanka mówiąca o świecie trwałym, niezmiennym, o świecie pozbawionym wszelkich konfliktów prócz miłosnych.

Piotr Chmielowski we wstępie do „Pism wierszem i prozą” Franciszka Karpińskiego omawia szczegółowo poglądy naszego „poety serca” na miłość, wykazując w nich sentymentalizm i umyślną egzaltację, a następnie pisze:

„Jakież będzie wyraz literacki podobnej miłości? Oczywiście pełen czułości, często przesadnej, afektowanej (sentymentalność), prosty, naturalny, ledwie okrywający przejrzystą zasłoną zmysłowe popydy. A ponieważ hasłem stał się powrót do natury, a naturę na wsi tylko w całej piękności oglądać się przyzwyczajono, więc wszelkie te szczerze wynurzenia przypisano pasterzom i pasterkom, nie znającym najniższego trudu życia, tylko jego skromne przyjemności i miłość. Naturalnie o malowaniu wsi prawdziwej, choćby w tym stopniu jak w „Żenicach” Szymanowicza nie pomyślano wcale; stworzono natomiast wieś urojoną bez ciężkiej pracy, bez pańszczyzny, bez znoju, wydelikacaną. Mieszkańcy jej wyrażają się tak po literacku jak sam autor i nie mają żadnej innej troski nad troskę miłości. Łzawi się, płaczą przy każdej sposobności, skłonni są do omdleń; jakiegokolwiek surowości, a tym mniej dzikości, brutalności nie ma w nich ani śladu”.

Nawet rewolucja romantyczna nie zniwelowała konwencjonalizmu sielanki. Poezja Lenartowicza jest bogatsza artystycznie i myślowo niż poezja Karpińskiego, a wieś z wierszy „mazowieckiego lirnika” ma więcej cech wziętych z rzeczywistości niż wieś z „Wiesława” Brodzińskiego, tym nie mniej Lenartowicz przyjmuje zasadniczo taką sa-

ma koncepcję sielanki jak Karpiński i Brodziński.

Nie ma w tej żywotności konwencjonalnego banału w gruncie rzeczy nic dziwnego: poezję tę tworzyli przedstawiciele jednej warstwy społecznej, jednego kręgu kulturowego, ludzie spoza wsi. Nawet dla Lenartowicza pozostawała wieś zawsze potrochu krainą egzotyczną. Lenartowicz przewyższył manierę stylistyczną sielanki pseudoklasyk, ale sam jej schemat pozostaje u niego niezmienny. Wprawdzie utwory takie jak „Mazur”, „Duch sieroty”, „Moja nuta” zahaczają o odmienne elementy bytowania wiejskiego, niesielankowe zgoła, ale są to tylko jakby cienie chmur, które na chwilę przesłoniły jasność słońca, i zasadniczo obraz wsi polskiej w poezji Lenartowicza zbudowany jest według następującej nader głębokiej koncepcji:

I człek myśli, że w raju,
A on w kraju, o! w kraju...

Koncepcja „wsi spokojnej, wsi wesołej” tak utrwaliła się w naszej literaturze, że działa już niezależnie od związków autora z bazą społeczną, z której wyrosła. Echa jej odnajdziemy np. we wdzięcznych wierszach tak subtelnego liryka jak Włodzimierz Słobodnik. Tkwi ona w podstawowych założeniach „Czartakowców”, choć u Zegadłowicza np. w jego „powsinogo-beskidzkiej” okrese jest zmęczona rozrabianiem i rozwadnianiem zasadniczych motywów kaspro-wiczowskiej „Księgi ubogich”.

Taki przegląd zjawisk literackich był konieczny, by należycie ocenić wartość ostatniej książki Frasiaka, książki, która zdaje się otwierać nowy etap w ewolucji rodzaju.

Sprawa pierwsza: w poezji Frasiaka motyw miłosny przestaje grać rolę dominującą, jak również sentymentalne zachwyty estetyzującego turysty nad urokami wiejskiego życia i pejzażu. Dominującym staje się tutaj motyw przywiązania do wsi, do środowiska chłopskiego, ale wyrażający się nie ogólnikowo, lecz w akcentowaniu związania uczuciowego z pewną określoną wsią, z pewną określoną grupą ludzi. Frasiak nie pisze o jakiejś mitycznej „wsi w ogóle”, ale o wsi, w której znajduje się jego dom rodzinny, w której mieszkał jego przyjaciel Błażek Wyligala, a także familia Kubusiaków, z którymi Frasiakowie mieli jakieś spory i zatargi. Bohaterami lirycznych obrazków Frasiaka są matka, ojciec, siostra, żona, córka poety. W krajobrazie Frasiaka przedmioty rozmieszczone są nie według abstrakcyjnych założeń poetyki rodzaju (t. zn. tak żeby było „ładnie”), ale zgodnie z faktyczną sytuacją: wiemy, że w ogrodzie księży znajdują się pawie, że koło domu Błażka Wyligali rosną brzozy, przy drodze wiodącej do miasta olchy, że obok domu poety rośnie stary wiaź, a w sieni stoi beczka na wodę.

I jeszcze jedno: krajobraz Frasiaka nie jest tylko tem, występuje on zawsze w powiązaniu z pracą ludzką lub losami człowieka. Działa tu tradycja pracy rolniczej włączającej człowieka w bezpośredni kontakt z przyrodą, łagodzącej ostrość granicy między światem ludzkim a pozaludzkim.

U Frasiaka sielankowość nie jest czymś założonym, programowym, jest punktem dojścia, jest naturalnym wynikiem pracy literackiej artysty, któremu właśnie idylliczna koncepcja świata jest najbliższa.

Zdaje się, że jak sielanka na schyłku XVIII wieku wrożyła zmierzchowi świata szlacheckiego, tak sielanka tego typu, jako reprezentująca nową książkę Frasiaka, pozostaje w związku z kryzysem warstwy chłopskiej, z jej wylęśaniem z fazy wielowiekowej bierności, z unowocześnieniem się jej życia i myślenia. W tych warunkach budzi się również niepokój niepewna przyszłość napawa lękiem, myśl zwraca się ku dawnemu, utrwalałemu przez stulecia stylowi życia i w nim szuka otuchy i pociechy.

Dla badacza kultury czy socjologa książka Frasiaka ważna jest przede wszystkim jako zewnętrzny wyraz pewnych procesów zachodzących w zbiorowości chłopskiej. Dla wszystkich jednak szczerych miłośników poezji „Urodzony w żdźble” ma ciężar gatunkowy inny. Oto odżywa w tej książce rodzaj poetycki, który zdawał się być skazanym na zamarcie w konwencjonalnym nudzie. Sielanka polska dzięki Frasiakowi staje się znów odkrywczą i świeżą, nasycia się realnością życia. Nareszcie przemawia z tego tomu wieś wolna od tych konwencjonalizmów, które w jej opis wnieśli niedzielni wycieczkowicze — miłośnicy krajobrazów z krową — i od tych, które przynoszą ze sobą zawodowi rozdrapawacze różnych ran społecznych i narodowych, specjalści od „społecznych protestów”, — wieś taka, jaka jest na prawdę.

Antoni Piper

O BLEŻENIE HELU

Proza dokumentarna

Pierwszego września 1939 r. o świcie mieszkańcy półwyspu helskiego usłyszeli szybki i gwałtowny ogień artylerii przeciwlotniczej, nie trwający jednak długo, gdyż po upływie kilkunastu minut ucichło wszystko. Zerwali się niektórzy wyleknieni z łóżek, obudzeni tym strzelaniem. Jedni myśleli, że to tylko ćwiczenia marynarki Obrony Przeciwlotniczej i kładli się spowrotem do łóżka. Innych natomiast zaniepokoiła niezwykła pora tych „ćwiczeń”. A nuż już wojna wybuchła — myśleli lękliwi.

Jak się w kilka godzin potem przekonano, wojna istotnie się zaczęła. Nadeszły do Jastarni i do Helu wiadomości telegraficzne z Pucka donoszące o zbombardowaniu miasteczka Pucka przez samoloty niemieckie o godz. piątej nad ranem. Donoszono o ofiarach w zabitych i rannych.

W samo południe mieszkańcy półwyspu i okolicznych osiedli przymorskich zainteresowani zostali przylatującym lukim, dochodzącym do uszu ich skądś z nieba. Widać nie było nic, a na jeden samolot nie wyglądało też. Jedni twierdzili, że to eskadry samolotów nieprzyjacielskich bardzo wysoko krążą nad okolicą, że niezmierznie ich dużo musi być, więc ten huk powstaje od warkotu silników samolotów. Ludność z zainteresowaniem słuchała tych huków, a w końcu i to ją znudziło, przeszła więc nad tym do porządku dziennego.

Kilkanaście minut później prosto z nieba zleciały na dół trzy samoloty, które się oddzieliły od tamtych, lecących eskadr i lot swój obniżyły zaledwie na kilometr nad powierzchnię ziemi. Znaków rozpoznawczych jednak nie było można jeszcze dokładnie gołym okiem stwierdzić.

Ktoś tam przyniósł starą lornetkę i popatrzywszy w niebo, zwrócił się do otaczających go:

— Uciekajcie natychmiast do schronów, to są niemieckie „fligry”, mogą bombę spuścić, gdy będziecie się tak gapili.

Po tych słowach jakby kto ludzi wymiół z ulicy. Nie było żywej duszy. Każdy pobiegł do swego schronu, by oczekiwać trzasku i wstrząsu zderzającej się z ziemią bomby, o których potwornej działalności ogół miał wyobrażone pojęcie.

Jednak wybuch nie następował, a samoloty oddalały się wreszcie, zdawało się, bo warkot motorów ucichł. Wyszli wszyscy wiedzą ze schronów na świeże powietrze.

Akurat wielu obiadowało, gdy nagle usłyszeli gwizd przeciągły „pikującego” samolotu. Zanim zdążyło usłyszeć siebie groźne niebezpieczeństwo, trzy silne wstrząsy zachwiały chatami i domami rybackimi.

Po tym pierwszym na półwyspie, a drugim ogólnym na kraj naloście, dopiero ludność miejscowa dowiedziała się o wypowiedzeniu wojny Polsce przez rząd niemiecki.

Tego samego dnia już się naloć więcej nie powtórzył.

Kto posiadał własny odbiornik radiowy, nie zamykał prawie przez cały dzień aparatu. Wieczorem zaś cała ludność, nie posiadająca radiodbiorników słuchała, gromadząc się w parku koło dworca kolejowego i tam wszędzie na ulicach, gdzie zainstalowane były megafony uliczne, radiowych komunikatów z frontu, które zawsze były optymistyczne.

W końcu i te komunikaty ucichły. Wtedy ostatnia nadzieja sprawiedliwych pierzchnęła. W dusze słabsze wkradło się zwątpienie. Jasnym się stało, że coś się kruszy, łamie, że wszystko, co było dotąd, runie, że jakiś nadchodzi inny czas, ciężki, okropny.

Już po upływie pierwszego tygodnia wojny, dowód żywności na półwyspie został wstrzymany, ponieważ nie można było nic kupić w pobliskich osiedlach rolniczych, a z zaplecem komunikacja była przerwana już kilka dni temu. Zapasy mięsa, masła i innych artykułów pierwszej potrzeby, porobione przez gminę, kończyły się widocznie, bo coraz mniej wydawano na głowę żywności.

Gdy wyczerpały się zapasy gminne, wydziełano przysługę ludności cywilnej z pomocą, wydzielając z swoich magazynów mąkę, którą oddawano do miejscowych piekarni, piekli oni na kartki chleb dla mieszkańców tutejszych. Na głowę piekli dziennie 150 gramów chleba, z której to racji nie mógł żyć żaden zdrowy i pracujący człowiek dorosły. Można przypuszczać jednak, że piekarze oszukiwali też ludność, bo po wkroczeniu wojsk niemieckich do Jastarni okazało się, że posiadali oni znaczne zapasy mąki żytniej, która, jak twierdzili, była ich własna, zachowana z przed wojny jeszcze.

A tam po drugiej stronie zatoki koło Gdyni i Oksywiu nieprzerwany ogień artyleryjski huczał donośnym, groźnym pomrukiem wojny. Widać było z półwyspu w dzień opary i dymy, przesłaniające tamten „gorący” brzeg, w nocy zaś węże ognia, ślizgające się po ziemi i rące światłem, rozdzierające ciemność nocy by wydrzeć tajemnicę zamysłów nieprzyjaciela.

Pewnego pięknego popołudnia ktoś przyniósł pogłoskę, że widać dwa duże okręty wojenne na pół drogi morskiej z Gdyni do Ja-

starni. Rybacy z zaciekawieniem wychodzili na brzeg popatrzyć choć z daleka na te okręty.

W pewnym momencie zauważono, że okręty manewrują, skierowując się dziobami w kierunku Jastarni.

— Będą strzelać — krzyknął ktoś doświadczony — uciekajcie!

Nie dokończył słów, gdy zauważono dwa bliski na okrętach, a równocześnie w chwili po tym usłyszano świst lecących ponad głowami pocisków.

Nikt już nie pytał co i jak, lecz ile sił miał w nogach uciekał w kierunku lasu.

Pierwsze pociski upadły we wsi, niedaleko brzegu, następnie nieco dalej w głębi wioski, dalsze pod lasem, w lesie, wiele rozerwało się w Bałtyku.

Jeden stary rybak, zdziwiony już, nazwiskiem Jakub Konkel, nieświadomy groźnego mu niebezpieczeństwa, podczas bombardowania przez okręty niemieckie Jastarni, spokojnie sobie zbierał w polu ziemniaki, podczas gdy nad głową jego rozrywały się szrapnele i padały niedaleko niego w polu. Cudem uszedł jednak z życiem.

Bombardowanie Jastarni trwało może godzinę czasu. W ludziach nie było strat żadnych, były natomiast, niezbyt zresztą duże straty w budynkach mieszkalnych i gospodarskich.

Kilka epizodów niebezpiecznych i emocjonujących było także.

U Juliusza Muzy pocisk wybuchł w domu, rozbijając całą ścianę boczną. Muż z rodziną siedział w schronie na podwórku u siebie. Rumowiska walące się domu zasypały jego schron. Jedynie dość szybka akcja ratunkowa ocalała rodzinę. Wypadki podobne miały miejsce kilkakrotnie. Pocisk zasypał nawet całkowicie leżące w dole po kartoflach chłopca, o którym niktby nie wiedział, gdyby nie żołnierz polski, idący na służbę, który zauważył to. Dzięki natychmiastowej akcji chłopca uratowano.

Jastarnię ostrzeliwał krawoznik niemiecki starszego typu „Schleswig Holstein”, drugi podobnego typu okręt podjechał bliżej Helu i ostrzeliwał port wojenny. Za każdym wystrzałem chaty rybackie chwiały się mocno, tynk nawet opadał z powalę.

Nie wiadomo, jak długo trwałoby bombardowanie Jastarni i jakby ona po tej akcji wyglądała, gdyby nie kontrakcja ze strony polskiej. Marynarka Obrony Wybrzeża w pewnym momencie posłała kilka pocisków przeciw bezczelnie podpluwającemu coraz bliżej „Schleswig Holsteinowi”. Już po kilku seriach działalności niemieckiego okrętu został przetrwany. Odczył się sztuczną zasłoną dymną i zawrócił do Gdańska.

Nagle milczenie „Schleswig Holsteina” było niezrozumiałe dla wszystkich. Powychodzili jednak co odważniejsi ze schronów. Okazało się potem, że dwa pociski dział polskich trafiły w samo działo; zabijając i raniąc obsługę, zrywając konin z okrętu.

Dopiero w pół godziny po zaprzestaniu ognia ludność miejscowa odważyła się wyjść ze schronów, by oglądać szkody, jakie poczyniły pociski z okrętu.

Nie były wielkie, jednak kilka domów zostało poważnie uszkodzonych, najbardziej, i to jako pierwszy, piętrowy dom znanej hakatystki na tutejszym terenie, Otyli Muzy.

Ona najwięcej czuła się poszkodowana, żądając natychmiastowego odszkodowania w gotówce z tutejszej gminy, na co jej odpowiadano:

— Dlaczego od nas żądacie odszkodowania? My wam domu nie uszkodziliśmy, tylko wasz Adolf wam to uczynił, więc do niego miejcie żal i pretensję, że szkód wyrządził patriotce niemieckiej. Jak Hitler przyjdzie to on wam postawi lepszy jeszcze dom.

Już więcej Muż nie napastowała polskich władz o odszkodowanie, przysięgła za to w duchu zemstę wszystkim Polakom.

Innego słonecznego, pięknego południa wrze śniegowe ogłoszono rykiem syren naloć. Zanim jednak to uczyniono, już samoloty nieprzyjacielskie leciały nad zatoką. Jeden po drugim opuszczały się samoloty w locie nurkowym na dół, na cel z góry upatrzony. Cel ten nie był widoczny dla większości mieszkańców Jastarni, kilkanaście osób jednak przypatrywało się tragedii, która właśnie w zatoce się rozgrywała.

Z Gdyni do Jastarni jechały dwa statki Żegluga Polskiej: „Gdynia” i „Gdańsk” załadowane żywnością dla wojska i cywilnej ludności, jako też mające cywilną ludność na pokładzie. W połowie drogi z Gdyni do Jastarni zostały zauważone i zaatakowane przez silne lotnictwo niemieckie.

Nad tymi statkami właśnie teraz krążyły samoloty, bez przerwy obrzucając je bombami i ślejąc z broni pokładowej. „Gdynia” już tonęła. Marynarze i ludność cywilna, pragnąc się ratować spuścili szalupy na wodę i wsiadli do nich. Lecz niemieccy lotnicy z karabinów maszynowych pozabijali cywilów i marynarzy. Nie przestali sięc z broni pokładowej, aż nie było już żadnego żywego człowieka na wodzie.

Cały atak skoncentrował się teraz na statku „Gdańsk”. Ten bronił się dość długo, mimo, że

na pokładzie jego było już kilku zabitych i kilkunastu rannych. Postanowiono jednak walczyć do ostatka i polec, jak synom morza przystało, honorowo, na posterunku.

Z jednego karabinu maszynowego, posiadanego na pokładzie postanowiono bronić się, wiedząc z góry, że walka ta jest beznadziejna wobec takiej siły powietrznej i przewagi nieprzyjaciela. Bomby sypały się jak deszcz, nieraz bardzo blisko burty i padały w wodę, odłamkami raniąc i zabijając marynarzy. Podziurawiony wskroś pokład „Gdańsk” otrzymał w końcu cały ładunek bomb w sam środek i w moment później, woda gwałtownie wdzierać się poczęła do wnętrza. Na ratunek było już za późno. Jednak i tu konających lotnicy niemieccy jeszcze dobijali kulami z karabinów maszynowych.

Złość i oburzenie powstało w sercach kaszubskich, gdy dowiedziano się o strzelaniu do ludności cywilnej z tonącego statku.

Kilka dni potem samoloty niemieckie ostrzelały łódkę rybacką. Rybacy ci niedaleko brzegu zastawiali sieci na węgorze, gdy raptem jeden samolot zauważywszy ich, przeleciał ponad głowami, otwierając ogień z karabinu maszynowego do znajdujących się w łodzi rybaków. Ci momentalnie wyskoczyli do wody, ponieważ nie było głęboko i przewróciwszy łódkę dnem do góry, ukryli się pod nią.

Oburzenie było powszechne na ten czyn niemieckich lotników. Szeźrali nawet tacy, którzy mieli dawniej pewne sympatie do narodu niemieckiego. Inni starali się bronić Niemców, tłumacząc ich tym, że nie wiedzieli, że w łódce znajdują się rybacy, sadzili zapewne, że to marynarze polscy, przebrani za cywilów.

Następnego dnia o świcie, gdy ludzie wstawali, huk ogromny wstrząsnął chatami rybackimi i w wielu domach szyby wypadły z okien. To samoloty niemieckie zrzucały bomby na dwa polskie trawlerzy, stojące w porcie jastarnickim. Jeden poszedł od razu w powietrze, drugi zapalił się i płonął, wyrzucając z swego wnętrza kłęby gęstego, czarnego dymu. Co chwila słychać było trzaski wysadzanej przez pożar amunicji, znajdującej się na okręcie. Chaty rybackie, znajdujące się blisko zatoki, zostały poharatane odłamkami bomb i szczątkami palącego się okrętu. Jedna z bomb trafiła też w drewniany barak A.Z.M-u i częściowo go uszkodziła.

Ludność, chroniąca się podczas naloć do kościoła, przeżyła raz moment prawdziwego strachu, gdy jeden samolot za drugim nalał się w bliskości kościoła, siając nieustannie z kulomiotów po dachach domów i po dachu kościoła.

Tymczasem front koło Wielkiej Wsi dotychczas dosyć cichy, ożywał się. Słychać było coraz częściej „pukanie” z artylerii polowej i bombardowanie frontu przez niemieckie okręty z morza otwartego.

Ludność miejscowa drżała z trwogi przed ponownym bombardowaniem wioski przez okręty niemieckie. Kilka kobiet, ulegając wrożej propagandzie niemieckiej wystąpiło nawet wobec gminy, podając za sobą inne, żądając zwolnienia mężów i synów z frontu i ni mniej, ni więcej, tylko oświadczając, by się wojsko polskie poddało, ponieważ ich trzymanie się jest bezcelowe, gubiąc tylko swoich ludzi.

Rozpędzono demonstrantki, ale nie się im z tego nie stało. Wydano tylko oświadczenie urzędowe, że na przyszłość, gdy się coś podobnego powtórzy, winni zostaną ukarani śmiercią. Nie stało się jednak już to więcej, gdyż za kilka dni była kapitulacja Helu.

Afisz, odezwy i wiersze patriotyczne, przyklejane na tablicy ogłoszeniowej przez jednego młodego rybaka kaszubskiego, czującego się prawdziwym Polakiem, ginęły zrywane potajemnie przez miejscowych renegatów kaszubskich, jak się okazało potem, przez rybaka Juliusza Mużę i syna jego Albina.

Przebywanie w schronie robiło niesamowite wrażenie z początku na nieprzyzwyczajonych do takiego mieszkania. Po jakimś czasie oswojono się jednak z takim życiem, grano w karty, śpiewano piosenki miłosne i kościelne, po bożnie, kochano się, kłóciono.

Były także epizody, że w schronie w jednym kacie ojciec lub matka podczas naloć odmaiwali różaniec, gdy młodzi, najnowsze, usłyszane piosenki kabaretowe śpiewali; nieraz kłóciono się, nawet przeklinano.

Dzień przed kapitulacją Helu, późno w nocy, nagle ciszę przerwał donośny, ponury głos, wołający przez megafony uliczne:

— „Halo! Halo! Okręty nieprzyjacielskie zbliżają się do brzegów półwyspu. Proszę czemprędzej podążyć do schronu.”

Ponury ten głos, wołający w nocy uczynił straszne i niesamowite wrażenie na mieszkańcach Jastarni.

Zaalarmowana ludność kaszubska namiętnie ubrana, wyskoczyła z łóżek, zabierając ze sobą resztę odzieży do schronu lub na dworzec się ubierając. Na wszystkich twarzach malowała się śmiertelna trwoga, każdy czegoś strasznego oczekiwał tej nocy.

Ale trwoga ta okazała się nieuzasadniona, gdyż nic się nie stało. Po upływie godziny alarm został odwołany. Wielu jednak nie wyszło do rana ze schronów, spędzając tam resztę nocy.

W ostatnich dniach wojny Niemcy zaczęli praktykować inną broń, a mianowicie: propagandę. Prawie każdego dnia zrzucał z samolotów do lasu ulotki propagandowe. Szczególnie dużo takich ulotek spuścił na front polski dzień przed kapitulacją Helu.

A w niedzielę rano w Jastarni - Borze przy drodze koło krzyża stanął oddział żołnierzy polskich, częściowo już bez broni. Złożono na ziemi trzy CKM-y. Sierżant jakiś wystąpił z krzyżem w rękę, bez czapki wojskowej, następnie przybiegł porucznik piechoty z Juranty i przemówił do cywilnych, każąc wszystkim wywieść białe chorągwie, gdyż wojska podają się. Potem jeszcze mówił chwilę, uzasadniając krok ten bezcelowością dalszej walki po kapitulacji Warszawy.

W pewnym momencie tak ożywionej „perory” przybiegł do niebo pewien młody podporucznik marynarki, stacjonujący z oddziałem swoim w pobliskiej leśniczówce i śmiało podszedłszy do buntownika, krzyknął, wymuszając rewolwer i skierowując łufę w pierś porucznika:

— Odejdźcie stąd cōpredzej, bo zastrzelę was bez pardonu jako zdrajcę i buntownika.

Zaś zwróciwszy się do oddziału żołnierzy rozkazał:

— Kto wam rozkazał porzucić broń i stanowiska opuścić? Natychmiast podnieść broń i na stanowiska!

Stanowczość głosu i wymierzony rewolwer w pierś porucznika postawiły wszystkich zbuntowanych na nogi. Jeden przez drugiego w popłochu uciekali do lasu, obciążeni opuszczone już stanowiska.

Przychodzący potem inni marynarze pozdejmowali białe obrusy i prześcieradła, wywiezione już przez niektórych kaszubów.

To też gdy w chwilę potem leciały przez wioskę samoloty niemieckie, nie trzały one białych chorągwi, natomiast jak zwykłe przyleżały zostały ogniem karabinów maszynowych polskich.

Ale kapitulacja nastąpiła jeszcze tego samego dnia. Gdy ludność miejscowa wychodziła z kościoła w południe po skończonym nabożeństwie, przez megafony usłyszała wiadomość o zawieszeniu broni na Helu i kapitulacji.

KSIAŻKI NADEŚLANE

WYDAWNICTWA „KSIAŻKI”
Bolesław Prus — Faraon, tom I, str. 257.

Lalka, tom I, str. 264, tom II, str. 298.

Balzac — Dwa poeci, str. 172.

M. F. Subotin — Pochodzenie i wiek ziemi, str. 88.

Adolf Rudnicki — Koń, str. 23, Major Hubert z armii Andersa, str. 27, Józefów, str. 16.

Czysty nurt, str. 43, Wrzesień, str. 67.

Zanna Kormanowa — Joachim Lelewel, str. 95.

Adam Mickiewicz — Grażyna, str. 76.

Agot Gjems - Selmer — Nad dalekim cichym fiordem, str. 128.

Władysław Brus — Urojenia i rzeczywistość, str. 117.

WYDAWNICTWA „CZYTELNIKA”

Michał Szolochow — Cichy Don, tom I, cz. I, str. 144, tom I, cz. II, str. 169, tom I, cz. III, str. 227.

Janina Broniewska — Szlakiem Pierwszej Armii, str. 174.

WYDAWNICTWA INNE

Ziemię odzyskane — odzyskani ludzie, str. 134, Wydawnictwo Zachodnie, Poznań, 1946 r.

Henryk Barycz — Słazacy w Polskiej kulturze umysłowej, str. 71.

Stefan Otwinowski — Wielkanoc, str. 91, Kraków 1946 r.

Ks. Henryk Weryński — Katolicy radykalni, str. 39, Państw. Instytut Wydaw. Warszawa 1946 r.

OD ADMINISTRACJI

Administracja tygodnika „Wieś”

przypomina o wpłacie zaległej

prenumeraty

Nr. Konta P.K.O. Łódź VII-1080

Prenumerata „Usi” wynosi zł 25

miesięcznie, zł. 75 kwartalnie i zł

150 półrocznie.

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król.

Komitet redakcyjny: Kałużyński Zygmunt,

Morton Józef, Ozga - Michalski Józef, Pietak

Stanisław. Komitet terenowy:

Frasiak Józef Andrzej, Nędra - Kubiniec Stanisław.

Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98.

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom.

Chłopskiej.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 ko-

lumnny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8

kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000.

Ogłoszenia przyjmuje redakcja tyg. „Wieś”.

Łódź, Piotrkowska 96, I p., tel. 100-98.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik”

Łódź, ul. Żwirki 2. D-09627